

WIEŚ

tygodnik społeczno-literacki

Rok X

Warszawa, dnia 17 maja 1953 r.

Nr 20 (406)

WZORY DO NAŚLADOWANIA

EUGENIUSZ KADZIAŁKA

KOLEKTYW

NASZA gromada znajduje się u podnóża pięknych gór Karpackich w miejscu, gdzie z prawej strony przepływa Dunajec między dwoma miastami Nowym i Starym Sączem. Liczy ona 750 mieszkańców — chłopów i robotników (PKP). Życie kulturalne rozwinięte się u nas bujnie. Świetlica nasza obejmuje sekcje: oświatową, chórą, no-muzyczną, teatralną i sportową, Kolo Gospodyń i Kolo Mieczurów, a samych tylko stałych czytelników mamy 147 — przeszło połowa to kobiety. Prace nasze są prowadzone według planu tygodniowego, opracowywanego przez zarząd świetlicy.

Czytane są u nas książki polityczne, rolnicze i powieści. Najbardziej rozchwytywani autorzy to Gorki, Wasilewska, Kruczkowski.

Książki rolnicze czytamy razem w świetlicy, bo mamy Kolo Mieczurów, które zrzesza 60 członków i podzielone jest na sekcje: ogrodniczą, warzywniczą, hodowlaną i uprawy roli. Do czytania książek ma dostęp każdy rolnik, kobieta i uczeń. Świetlica otwarta jest co dzień i udogodniona dla każdego w porze wieczorowej. Urządzamy specjalne zebrania o doświadczeniach rolniczych i agrotechnicznych. Związku Radzieckiego i jego uczonych, jak Mieczur, Lysenko i Williams, doświadczenia te przeniesliśmy na pola rolników.

Książkami politycznymi są zainteresowani wszyscy, bo wiedzą, że mówią prawdę i wskazują drogi do lepszego jutra, a obalają wyzysk i zaoferowanie. Ale książek popularnonaukowych mamy najmniej, choć te najwięcej są czytane, zwłaszcza o pochodzeniu człowieka i życia na ziemi. Czyta je młodzież i starsi i każdy chce oglądać zdjęcia o pochodze-

niu człowieka, a mamy tylko jedną taką książkę.

Dużą pomocą jest dla nas aktywna gromadzka, jak prezes ZSCH, Wójcik Józef, sőtys Piotrzyk Władysław, aktywiści: Boruch Jan, Kadziałko Jan, Pargos Antoni, kierownik szkoły Kondolowicz Franciszek i z Kola Gospodyń Pargos Zofia i Szkołruddek Elżbieta. Cały ten aktywny poprowadził gromadę do 3 konkursu czytelniczego.

Mamy 4 zespoły czytelnicze: pierwszy zespół dawnych analfabetów, drugi wspólnego czytania i streszczania książek (większość już sama potrafi pisać referaty) trzeci zespół wydaje miesięczne gazetki ścienne o życiu gromady i jej pracach, czwarty — to agitatorowie, którzy wiedzę zdobytą w świetlicy przenoszą do rolników naszej gromady i gromad sąsiednich, dzięki nim przychodzi do nas coraz więcej rolników, którzy chcą korzystać z wykładów świetlicowych i naukowych. Założyliśmy 2 kola Wszechnicy Radiowej, liczące po 20 osób i tutaj właśnie uzyskaliśmy poważne sukcesy, w czerwcu zdajemy egzamin I stopnia. Ostatnio najwięcej czytamy książek rolniczych, które uczą o pracach wiosennych, zatem przez wspólne czytanie chcemy nowe doświadczenia przemieścić na o- gródki doświadczalne i pola rolników.

Poprzez wspólne czytanie i prowadzenie dyskusji podcignaliśmy gromadę do tego stopnia, że przodujemy w kontraktacji, w obowiązkowych dostawach i płatności podatków. Teraz łatwiej jest prowadzić pracę kulturalno — oświatową do nowych zadań w przebudowie naszej wsi.

Eugeniusz Kadziałka
Biegonice, pow. Nowy Sącz

WAŁENTY MAĆKOWIAK

ORGANIZATOR

TOWARZYSZE! Nasza wieś pochodzi z parcelacji majątku w Kurowie. 50 matorolnych 2 średniaków i 3 kulaków. Dziś jest ona już spółdzielnią produkcyjną. Trudne były dla niedawnych formacji początki czytania książek. Od indywidualnych też przykład nie szedł, bo ci bardziej się trzymali kłopotliwych. Ale myśmy sami poszli naprzód. Moją rolą było i jest organizować. A kim to powinien być organizator czytelnictwa?

Powstała spółdzielnia produkcyjna. Czego więc jej potrzeba? Biblioteczki rolniczej. Dopełnowałem. Mamy 52 tomy. Czego jeszcze? Szkolenia rolniczego. Prowadzimy i produkujemy ogólną wyszkolę. Jaki powinien być nasz aktywny? Usługom politycznym. Toteż sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej, sőtys, zarząd, kierownik świetlicy i przewodniczący najchętniej teraz czytają dekrety rządu, ustawy o rozwoju ruchu rolniczo-rolniczego, spółdzielni produkcyjnych i kolchozów oraz pisma Stalina.

A jak jest z biblioteką — spytaście — z literaturą? Po mojemu, aby ulepszyć pracę biblioteki, trzeba zdobyć najpierw zespoły świetlicowe, jak: teatralny, śpiewaczy, muzyczny i Wszechnicy Radiowej. Przerabiam z posługujących książek na teatru, akademii, na śpiewy i występy. Wtedy się okazało, że to w książkach jest materiał dla zespołów świetlicowych. I tak zdobyłem dla literatury zetempowców i elztesowców. Bardzo mi pomagają, bo my się udzielamy również innym gromadom. Potem dobrałem się do starych. Szkolenie rolnicze i broszury fachowe daty i ruszyły grunt, świetlice — drugi, aż wreszcie przyszedł do czytania literatury.

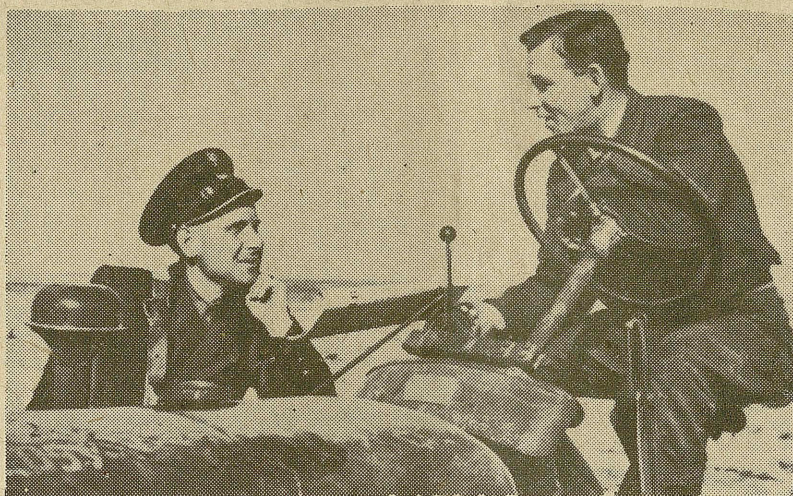
I dziś mamy już ładny dorobek: Mickiewicz, Krasiński, Słowacki, Pułaski, Fredro, Sienkiewicz, Prus, Żeromski, Gorki — to z dawnych. Ze współczesnych upodobał mi sobie „Ojczyznę” Wasilewskiej, (my byli formale) „Zorany upór”, „Pamiętkę z Celulozy”, „Sose Wolo-kolamską”, „Dni i noce”, „Dni hartowała się stał”. Takie książki mamy w naszej bibliotece, a jeśli czytelnicy życzą sobie innych, to staram się zdobyć z powiatowej biblioteki w Kościebie. Mo nowości na gromady jako nie dochodzą. Przedej już drogą indywidualnego zakupu od listonosza, który cieszy się u nas dużym poważaniem. Albo też, ja jako kierownik punktu bibliotecznego jadę do Domu Książki,

przywiozę i sam sprzedaję. Ostatnio w naszej gromadzie rozprzedałem np. 10 tomów Neverlego „Pamiętkę z Celulozy”. Ludzie mnie już znają. I pierwsze ich słowa, choćby na drodze to: opowiedzcie Walenty nową książkę, jaką zechcie przeczytać! Albo — jaką ładną o wojnie — o kolchozach, o fabrykach — o młodzieży itp. Bom też wprowadziłem zwyczaj chodzenia po domach i opowiadania o powieściach, czy chcieli, czy nie chcieli. Teraz sami spółdzielcy tak gawędzą, a w moje słady wchodzi młodzież, a już z zespołu czytelniczego na III konkurs (25 osób) to mam prawdziwą pociechę. Często też ktoś z aktywnu na zebraniu, w brygadzie i przy jakiej innej okazji da porównanie a to z poezji, a to z opowieści, także powołują się na broszury rolnicze.

W samej spółdzielni (popołowaczny obszar) nie ma szkoły, jest w sąsiedztwie, we wsi. Toteż nie nauczycielstwo zaudzieczamy rozwój czytelnictwa. Ja zostałem bibliotekarzem punktu z zamilowania i widząc jak były farnal z innej wyszedłem tradycji. Nauczyciel czeka na czytelnika (w szkole), ja chadzałem dawniej po czworakach, teraz więc też chadżam po chatkach z książkami pod pachą do wypożyczenia. To jest potrzebne. Ludzie chcą wiedzieć, co czytają inni? Dlaczego? Zastanawiają się. Szukają dla siebie tematu, potem odpowiadają książkami. Taki obchód wieczorem po pracy i przez niedziele wywołuje ruch i podnosi sprawę czytelnictwa i utrzuła dla niej stały czas. Niezależnie od tego działu świetlica, o której wyglądz bardzo dbamy, choć nam jeszcze brak wielu rzeczy.

W mojej pracy doczekałem się dużego zrozumienia i pomocy ze strony Podstawowej Organizacji Partyjnej i Komitetu Powiatowego. Bo miałem takie trudności, że za wyjazd na konferencje powiatowe, wojewódzkie czy w teren do innych gromad nie chciałem i zarząd spółdzielni wyrównywał dniówek twierdząc, że to nie praca. Toż ja przy czytelnictwie pracuję w gromadzie bezinteresownie prócz pracy fizycznej, ale w tych wyjazdach ukladalo się w 1951 r. — 30 dni, w 1952 — 28, w 1951 dniówka wynosiła 18 zł, a 1952 — 23 zł. Ja zaś mam 5-cioro dzieci (szkolnych) i starą matkę. No, ale zrozumiano, że aktywista-bibliotekarz to też zawód, spółdzielnia potrzebny.

Walenty Maćkowiak
Kurowo, pow. Kościan



RYSZARD LISKOWACKI

Pochwała nowego życia

Zosi Klizównie z „Mazowsza”

1.

Przez pole biegnie do szkoły dziewczyna,
Wiatr jej do włosów motyle przypina...
Dziewczynka śpiewa... przewleka głos miękki
Przez wiatr gorący, przez świt i przez błękit.
I tyle szczęścia w tym prostym widoku,
Że traktorzysta przystanął na boku
I śledząc wzrokiem smarkulę biegnącą
Mówi: To dla nich ten trud nasz gorący.

2.

Ulica prosta. Wśród jasnych ogrodzeń
Rowerem jedzie listonosz... jak co dzień
Przy każdym progu witają go szczerze
Częstują mlekiem, mistrza na rowerze.
I chciwe ręce łapią książki, pisma,
Aż nagle z okien melodia wytryska,
Melodia śpiewa, chopinowski poryw,
I... „Tu Warszawa”... głos oznajmił skory.
I w jednej chwili chłopskie serca biegną
Do niej, najdroższej, jak myśl niepodległej.

3.

Wieczór nadpłynął chłodem, co nie chłodzi —
Przed kinem gwar się natężył i gaśnie,
Bo oto z pieśnią przez wieś idą młodzi
I nagle ciepłej się staje i jaśnie.
Wieczór nadpłynął nad ziemię oczyszczoną
Oddechem ciepłym wiatrów urodzaju —
Szczęśliwi ludzie, którzy w wieczór myślą
O dniu jutrzejszym uśmiechy rozdziają.
Szczęśliwi ludzie, których trud zmęczenia
W coraz piękniejszych, w coraz młodszych zmienia.
Chwałą swity nad lasem i śpiewne traktory,
I pracę, która nie da sercu gnuśnie prześnić.
Chwałą chłodne poranki i ciepłe wieczory,
I miłość chwałą prostą jak strzyły tej pieśni.

HELENA ZAWORSKA

Do wydawnictw, pisarzy i krytyków

LEŻY przed nami stos listów z terenu — z całego kraju. Dotyczą one czytelnictwa na wsi — zakresu tematycznego, zainteresowań, potrzeb, organizacji i propagandy. Lektura pospólnująca. Przynosi fakty i cyfry mówiące o takim zainteresowaniu książką, o jakim naszej wsi jeszcze przed kilkunastu laty nie śniło się. Ale tym razem nie będziemy mówić o optymistycznych wnioskach, które niewątpliwie narzucają się po przeczytaniu terenowej lektury. Pomówimy — zwracając naszych krytyków — nie o tym, co w listach jest, ale o tym, czego w nich nie ma. Uwaga, obywatelu pisarze! Uwaga! obywatelu krytycy! Mowa o literaturze współczesnej!

Przeczytaliśmy około pięćdziesięciu listów informujących o czytelnictwie w gromadach, w PGR-ach, w spółdzielniach produkcyjnych — dzielili się doświadczeniami ze swej pracy kierownicy bibliotek gminnych, punktów bibliotecznych, kierownicy świetlic. Spójrzmy na informacje o zakresie tematycznym czytelnictwa, zbierzmy tytuły ulubionych książek. Od razu wysuną się nazwiska: Sienkiewicz, Prus, Orzeszkowa, Krasiński. I równoległe do nich — równie wielka fala literatury radzieckiej: Szolochow, Tolstoj, Enerburg, Fadiejew, Niekrasowa, Bajkowski. Doskonale! — powiecie — czytani są klasycy, czytani są pisarze radzieccy, czytani są... O, właśnie, poczekajcie. Chodzi właśnie o to, że na tych dwóch niewątpliwie z radością odnotowanych zakresach — w większości listów kończą się informacje o czytelnictwie beletrystyki. A gdzie nasza literatura współczesna? Na tym właśnie polega problem, iż o niej mamy najmniej informacji.

W wielu listach nie ma w ogóle wzmianki o pisarzach współczesnych. Do zupełnych wyjątków należy list, w którym wymieniani są oni w gronie pisarzy czytanych najchętniej. Są informacje, iż powszechniejsze i żywie zainteresowanie wzbudziła „Pamiętka z Celulozy” Neverlego. Wymienione zostały nazwiska: Morcin, Broniewskiego, Gałaj, Bartelskiego, Wilczka. A gdzie inni pisarze, gdzie nasza bądź co bądź dość obfita produkcja literacka, podejmujemy

tematykę współczesną, gdzie znajdują się książki laureatów nagród państwowych? Nie, to nie moje pytania — to pytania, które powtarzają się w wielu listach z terenu! Pracownicy bibliotek dopominają się o jeden choćby egzemplarz „Pamiętki z Celulozy”, o „Pokolenie” Czeszki, o książki młodzieżowe i fantastyczne („Astronautów” Lema), o książki mówiące o walce z hitlerowskim okupantem i o nowych ludziach budujących miasto i pracujących na wsi! Gdzie giną nakłady polskich powieści współczesnych? Czy nie jest sprawą skandaliczną fakt, że w wielu listach napotykamy stwierdzenia: „Nie ma w ogóle książek laureatów nagród państwowych”? Chętnie — jeśli nie najchętniej — czytane są książki radzieckie, mówiące o ostatniej wojnie z hitlerowskim okupantem. Dlaczego obok tych książek nie znajdują się w terenie nasze książki, mówiące o naszym wkładzie w walkę z niemieckim faszysmem, o pisujących i oceniających doświadczenia — książki takie, jak „Wrzesień” Putramenta, „Dni kłeski” Zukrowskiego, „Pokolenie” Czeszki.

Komu jest potrzebny dziwny „monopol środowiskowy” czyli wysyłanie książek o wsi — tylko na wieś, książek o górnikach — do górników, książek o stoczniowcach — do stoczniowców itd. Nie negujemy konieczności takiego podziału — negujemy „monopol”, stwierdzamy fakt, iż atrakcyjność tematyczna książki, atrakcyjność środowiskowa, odmiennie doświadczeń — ma pierwszorzędne znaczenie w zainteresowaniu każdego czytelnika. Nie bez powodu Morcin jest jednym z najbardziej popularnych pisarzy u wsi!

Więcej zainteresowania planowym zaopatrywaniem wsi w literaturę współczesną! Dla kogo pracują nasi pisarze, jeśli nawet najwyższe osiągnięcia naszej literatury nie zawsze trafiają w teren?

Korespondent z Łańcuta (woj. rzeszowski) pisze: „O współczesną powieść polską pytają nasi wyrobnicy czytelnicy, którzy dla celów poznawczych czytają; kto obecnie pisze, na jaki temat i jak; zakosztowawszy raz czytają coraz więcej. Gorzej, gdy natrafia na powieść literacką lichą. To zniechęca zwłaszcza osobnika o kru-

chym lub nieskrystalizowanym podłożu ideologicznym”.

Korespondent z Łańcuta szlachnie stwierdza, iż tylko odpowiedni poziom może zapewnić pożyteczność książek z naszej literatury współczesnej. Książki złe, książki „literacko liche” zrażają do tej literatury, pozwalają wysuwać wnioski uogólniające o nieporadności literatury realizmu socjalistycznego, trzeba im po pierwsze — po to, by zachęcić ludzi do czytania powieści współczesnych, trzeba im po pierwsze — dać do ręki pozycje wartościowe i ciekawe, po drugie — trzeba wskazać czytelnikom pewne kryteria oceny, o błędach mówić, iż są błędami, o książkach nieudanych — iż są książkami niedanymi. I oto zagadnienie zaczyna o wiele uważawierzać w nadesłanych listach. Uwaga, które powtarzają się niemal w każdym liście. Bibliotekarze dopominają się o informacje, bibliotekarze narzekają na brak wiadomości o książkach, bibliotekarze nie mogą przeciw wszystkim czytać, by służyć czytelnikowi osobistymi informacjami! Od agitacji bibliotecznej, od wyboru przez niego książek do zbiorowego czytania, od urządzania przez niego wystawy zależy bardzo dużo. W wielu listach są stwierdzenia pomocy, jakiej udziela tu K. O. organizacje młodzieżowe. Ale wciąż powtarzają się skargi o braku informacji koniecznych dla przekazywania czytelnikom.

Co myślą o tym nasi krytycy? Czy nie żmuci ich do smętnego zastanowienia się fakt, że ich piękny zawód nie został ani słowem wspomniany w omawianym tu pokaznym stosie listów? Dla kogo są pisane i do kogo docierają recenzje w naszych czasopiśmiech literackich? Przeszło rok rozbrzmiewały w nich gromkie okrzyki wojny ze schematyzmem — a co z tego i po co to miało dotrzeć w teren jako informacja i od czytelników wydobywać informacje? Czy to nie jest niepokojące, że żaden z korespondentów nie mógł się poszczycić zanotowaniem tak pożytecznego np. faktu, jak kontakt krytyka z czytelnikami w terenie? Czemu tak głucho o pięknych zawodzie krytyka, gdy mowa o... czytelnikach?

JAN KOPROWSKI

Poświęcone ziemi rodzinnej

Wracam do niej co roku, co dzień
o kulistym słońca zachodzie.
Bez tej ziemi ja żyć nie mogę.
Mnie wciąż do niej, mnie tylko w drogę,
do wzgórz letnich, lasów bukowych,
westchnień matki i trosk ojcowych.

Mnie w tej ziemi nie było dobrze.
Mówię sercu: czas tamten pogrzeb,
gdym wraz z braćmi w chłodzie jesienny...
biegł do szkoły bosy i senny.
Ale serce chętnie wspomina,
jak stojąca wśród łąk wierzbina.

Tak już wiele zdarzeń nas dzieli
od tych dni bez żadnej niedzieli.
I zapewne serce ma słuszną
wspominając tę gorzką duszność,
bo z wielkiego lat oddalenia
nawet gorycz w słodycz się zmienia.

Dzisiaj w mojej ziemi rodzinnej
dni są inne, niedziele inne.
Ja tę ziemię widzę, jak kwitnie,
jak jej coraz lepiej i sytniej.
Mnie ta ziemia po nocach budzi
i wśród nowych każe iść ludzi.

Moją ziemię dwaj nieśmiertelni
osławili, ośpieli pisarze.
Do dziś w murach kieleckiej uczelni
oglądamy ich mądre twarze.
Idą z nami przez nowe dzieje
w piękne czasy trudnej nadziei.

Mnie tę ziemię opiewać czyną,
moją ziemię oczyszczoną, rodzinną,
która bierze się z losem za bary
i rozkrusza zeschle i stare,
które wszystkie dajemy siły,
by radości jak źródła były.

Książka i film o Nowej Hucie w ogniu dyskusji robotników

OLGIERD JĘDRZEJCZYK

PRZYRZECZENIE PISARZA

W tramwajach jeżdżących do Nowej Huty z Krakowa umieszczono wiele plakatów i napisów o treści antyalkoholowej. Jeden z nich brzmiał: „Upijając się przynosisz wstyd sobie, swej Hucie, swej wsi”. Reka jakiegoś nieznane- go człowieka przekreśliła grubymi krechami słowo „wsi” i napisała „miastu”. Przeczytałem to z wielkim wzruszeniem: oto jak niedawni mieszkańcy wsi podhalańskiej przy- wiali się silnie do swojego miasta. Wzruszyło mnie to i dlatego, że je- chałem na dyskusję o książce Ma- riana Brandysa poświęconej począt- kom budowy Nowej Huty...

Początek opowieści o wielkiej bu- dowie — jak dzisiaj przyjmą tę książkę czytelnicy, jakie postawią życzenia autorowi, co mu powiedzą o swoich osobistych przeżyciach od czasu, kiedy po raz pierwszy odci- nek powieści Brandysa ujrzał świat- ło dzienne na łamach „Sztandaru Młodych”.

„Początek opowieści” poświęcony okresowi ogromnych wykopów i fundamentów na pierwszym nowo- hutnickim osiedlu A-0 i A-1 — zo- stał przeciętny i zdystansowany przez osiedle C-1, C-2, B-1, B-2, przez ogromny kombinat rosnący z godziny na godzinę, przez tramwaj łączący Kraków z Nową Hutą, w którym znaleźliśmy dogodną spo- sobność do rozpoczęcia reportażu o dyskusji nad utworem Mariana Brandysa.

Przed wejściem do teatru stószy książek, wśród których urzędują i rozdają autografy na swoich książkach Marian Brandys, Woj- ciech Zukrowski i Kazimierz Ko- złowski. Sala wypełniona robotni- kami, junakami BP, nie brak in- teligencji technicznej, betoniarzy i murarzy.

Zagaja Wojciech Zukrowski. Nie jest to jednak oklepane „słowo wstępne”. Pisarz opowiada o śmie- sznych paradokсах wywołanych wśród literatów nieznajomością te- renu, prosi zebranych, żeby pomogli autorowi w przewidywaniu wielu jeszcze niedociągnięć literatu- ry współczesnej.

— Powiedzieć autorowi tak: słu- chaj, ja to napisałbym lepiej, ja bo- haterowi twojej książki kazałbym zrobić to czy tamto. Po prostu, uc- cie pisarza, jak ma według wasze- go zdania napisać książkę na no- wo!

Przy ostatnich słowach Zukrow- skiego na zatłoczonej wielkiej sali wzbiera wesołość. Rozbrzmiewają oklaski.

Następnie zabrał głos Marian Brandys.

— Trudno mi uwierzyć, że jestem

w Nowej Hucie z przed dwu lat. Niektórzy nie pamiętają już pew- nych rzeczy z tych czasów. Wielu nie pracowało wtedy...

Wzruszenie autora było zrozumia- łą — siedzieli przed nim nie tylko budowniczymi miasta i kombina- tu, ale również stali mieszkańcy Nowej Huty, przywiązani do swoje- go miasta, dumni ze swoich osią- gnięć.

Pierwszy zabrał głos Jan Nita, dawny robotnik, obecnie student Wyższej Szkoły Inżynierskiej. Zwrócił uwagę na to, że on osobi- cie za mało może wyciągnąć wnio- sków z książki Brandysa w walce codziennej z wrogiem. Jest poka- zany u Brandysa wróg naszego pań- stwa ludowego, młodszy Tyrac- ki. Z postaci jednak Tyrackiego nie można wyciągnąć wskazówek w walce na przyszłość.

Jan Lesiuk z PPW Kombinat zwrócił uwagę na brak podkreśle- nia „terenowości” miasta. Podał on przy tym przykłady z własnego ży- cia, kiedy właściwie umiejscowio- ne w książce tereny budowy „owego miasta” przywołują na pamięć wspo- mnienia związane z tym, a nie in- nym miejscem, a powierzchowne potraktowanie tego zagadnienia w powieści nie pozwalało rozpoznać Nowej Huty.

I następni dyskutanci zwracali u- wagę na wiele niedociągnięć opo- wieści Brandysa, nie to było jed- nak istotne. Uwagi krytyczne ru- cane były z punktu widzenia co- dziennych zajęć dyskutantów: pra- cy przy betonowaniu podstaw do pieców martenowskich, przy budo- wie miasta, pracy organizacyjnej ZMP, pracy inżyniera pochylające- go się do późnych godzin nad pla- nami budowy. Nie bez znaczenia jest fakt, że w dyskusji pełnomoc- niki Zarządu Głównego ZMP na Nową Hutę, tow. Tejchma, rzucił nazwisk, poszczególnych robotników i robotnic, których droga do awan- su, sukcesów produkcyjnych przy- pominała drogę wielu bohaterów u- tworu Mariana Brandysa. Nie bez znaczenia jest fakt, że Piotr Ożań- ski, znany murarz nowohutnicki, wiazał pokazane przez Brandysa fakty wrogiej działalności z tym, jak jemu samemu podłożono pod rękę rozpalać cegły, aby przesko- dzić „szybkościowemu” muryowaniu.

Ciekawy był głos w dyskusji mu- rarza Ożańskiego. Pewno, że z punktu widzenia teorii literatury żądanie od pisarza ścisłego notowa- nia faktów w dziele literackim jest przesadzone, ale w wypowiedziach Ożańskiego widać było jego wielkie przywiązanie do książki Brandysa. To jego książka, bo to jego spra- wy — i dlatego z taką odwagą i

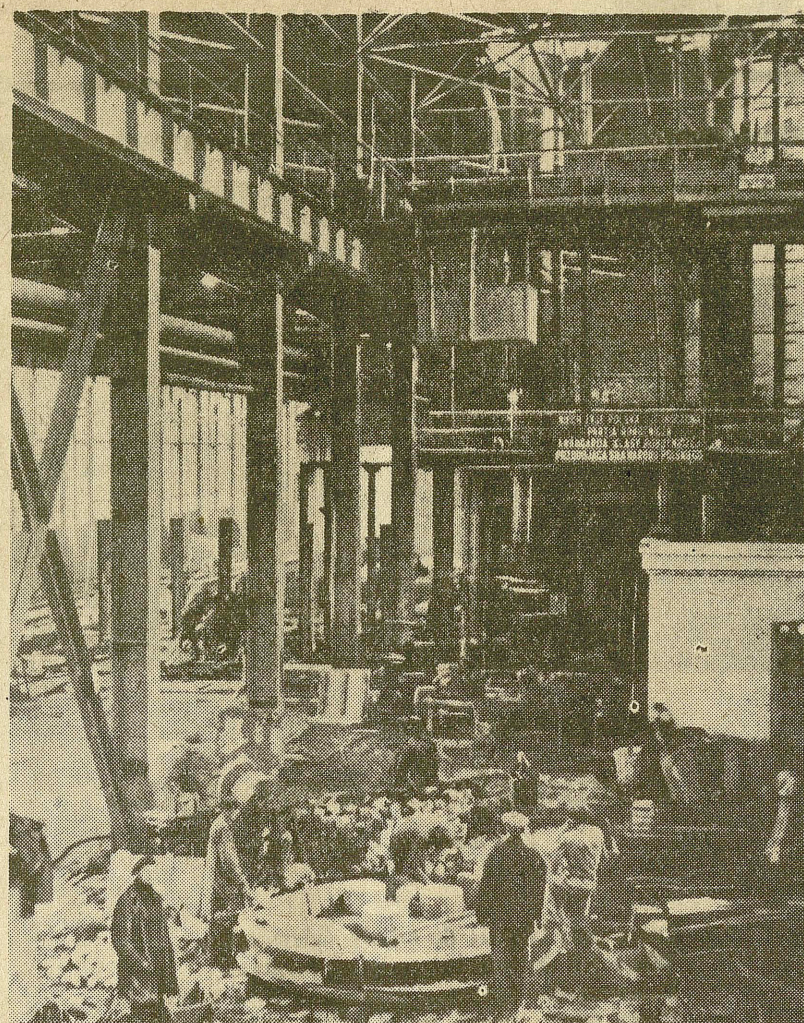


Foto CAF

bezkompromisowości stawiał swo- je żądanie murarz i jednocześnie współtwórca nowej literatury.

Słusznie przedstawiciele aktywu ZMP Nowej Huty zwrócili uwagę, że bohaterowie z opowieści Bran- dysa nie są ukazani w rozwoju. Ta- ki np. Kulbar, aktywista młodzie- żowy, spadł na Nową Hutę z nieba. A jak stał się on takim wielkim aktywistą? — pytali dyskutanci Brandysa.

A dobre strony? Mimo błędów książki wszyscy czują się do niej przywiązani.

Tyracki, ten który się oderwał od kolektywu robotniczego — o, taki jeszcze istnieje. Brandys pokazał, że trzeba z nim walczyć. W książce są inżynierowie różnych poglądów. Jedni uważają budowę Nowej Hu- ty za sprawę niepotrzebną, drudzy uczestniczą całym sercem i duszą w budowie nowego miasta. Marian Brandys pokazał nam walkę między

starym i nowym na postaciach tych inżynierów i pokazał, jak to nowe zwycięża. I dlatego „Początek opo- wieści” odniósł zwycięstwo polity- czne. Książka jest aktualna — po- twierdził to wszyscy dyskutanci, zarówno wymienieni wyżej, jak i Stanisław Skórka, tow. Jan Zytko i tow. Stanisław Zralek.

Wszyscy dyskutanci kończyli swoje wypowiedzi jednym zda- niem: „Chcemy przeczytać nową książkę Mariana Brandysa o No- wej Hucie. Właśnie dlatego, że „Początek opowieści” dał począ- tek literackim działom naszego miasta”.

Wśród gorących oklasków wszedł na mównicę Marian Brandys. Po- wiedział:

— Moim zdaniem — macie rację. W mojej książce jest wiele błędów i dlatego postanowiłem napisać no- wą powieść o was!

Olgiędr Jędrzejczyk

WŁADYSŁAW BLACHUT

„TRZY OPOWIEŚCI”

P REMIERA filmu „Trzy opo- wieści” odbyła się tam, gdzie film ten powstał — w Nowej Hu- cie. Film otrzymał tu swój pierw- szy chrzest wśród robotników i ju- naków, budujących największy kombinat 6-letniego Planu. Trzeba, aby o tym widzieli działacze kul- turalni w terenie, aby o tym wie- dzieli widzowie chłopski, którzy w tych dniach ujrzą film na ekranach wiejskich kin stałych i objazdo- wych.

Ta bowiem pierwsza ocena, jaką wydali o „Trzech opowieściach” robotnicy, stanowi ważny komen- tarz do zrozumienia filmu. Na film składają się trzy różne części (trzy opowiadania) filmowe. Obraz No- wej Huty przedstawiony tu został fragmentarycznie i mówi jakby o początkach budowy. Ukazuje więc podobnie jak książka Mariana Bran- dysa „Początek opowieści”. Kie- dy oglądający ten film robotnicy i junacy Nowej Hu- żyją już w no- wym mieście, budowanym potężnie. Pracują już przy dwóch wielkich e- lektrycznych bieżących stalowni- czych i w najbliższej nowoczesnej odlewni. Niedawne ugory o naj- smutniejszej w świecie nazwie Mogła połączyły z Krakowem asfalt, autobusy i tramwaj. Robot- nicy zwyciężają siły, aby wypro- wadzić nowe wielkie piece, aby uwieńczyć dzieło kombinatem zdolnym produkować 1000 ton na dobę. Są tu robotnicy z działa pra- dziada i są tu również robotnicy, którzy ze wsi wyszli dwadzie- ciu lat temu. Ale jedni i drudzy hartują się i rosną na największej, najbar- dziej kluczowej pozycji budowni- ctwa socjalistycznego. Budowa No- wej Huty wchodzi w fazę, kiedy wiele nowo-wiejszych hut i fabryk w kraju przyspiesza swe zobowiązania aby oddać Nowej Hucie zamówio- ne urządzenia, aby z tych elementów — konstrukcji i maszyn — dopełnie- no zostało przed terminem wielkie dzieło dumy i siły naszego narodu.

„Trzy opowieści” zrealizował ze- spół absolwentów Państwowej Szko- ły Filmowej. Jest to więc debiut nie-młodych naszych filmowców, „Orwiewici” również ukazują boha- terów młodocianych.



Scena z filmu „Trzy opowieści”

Po wyświetleniu filmu zabrał głos w imieniu zespołu realizatorskiego autor scenariusza i reżyser opowie- ści o Nowej Hucie, Czesław Petel- ski. Dziękował robotnikom Nowej Huty, przede wszystkim młodym ju- nakom i zetempowcom za pomoc o- kazaną przy nagrywaniu filmu. Film ten w znacznej mierze jest ich dzie- łem. Z tych względów, stosując się do wskazań Wielkiego Stalina (...jakkie inaczej można stwierdzić, że się stworzyło coś wielkiego i stu- sznego, jeśli nie sprawdzi się tego w reakcji tych ludzi, o których się mówi w dziele artystycznym...) młodzi realizatorzy „Trzech opo- wieści” pragną skonfrontować swo- je dzieło z życiem, pragną usłyszeć słowa rzeczowej krytyki z ust tych, którzy na temat nowego filmu ma- ją najwięcej do powiedzenia.

Pierwszy przemawiał robotnik Jan Rzydka. Nie jest kinomanem, ale akcja tego filmu bardzo go prze- jeła, gdyż trafnie oddaje atmosf- erę panującą na wielkich budowach

naszego planu, zwłaszcza nowela pierwsza o Nowej Hucie, w której pokazano, jak trzeba walczyć trud- nościami i strzec się przed sabota- żem i gwyersją.

Pozytywnych wypowiedzi było więcej. Między innymi towarzyszy: Kasprzycki, Pustelnika, Słysz, Holey i innych. Wśród gorących oklasków widzów dziękowali oni realizatorom za ambitną próbę ukaza- nia naszej młodzieży w pełnej potę- patosie walce o Plan 6-letni, o no- wą moralność socjalistyczną, o spół- dzielczość produkcyjną na wsi...

Młodzi dyskutanci nowohutnicy słusznie zwrócili uwagę na to, że po- kazany im obraz nawiązuje odwa- żnie do kluczowych zagadnień na- szej rzeczywistości, że uczy czujności, że pokazuje rolę kolektywu w wy- chowaniu młodzieży na budowlach socjalizmu, że demaskuje kulacki wyzysk i propaguje rozwój spół- dzielczości produkcyjnej.

W dyskusji nie brakło jednak gło- sów rzeczowej krytyki. Podnoszono

m. in. (robotnicy Dukat, Wilczak, Krawczyk), że w opowieści o No- wej Hucie było za dużo deklaratyw- ności, że w opowieści drugiej ro- la wychowawcza kolektywu zetem- powskiego nie została odpowiednio pokazana, że w trzeciej części nie wyszła należycie kierownicza rola partii w walce o spółdzielczość pro- dukcyjną.

Najchętniej widzieliby robotnicy jedną wielką opowieść o Nowej Hucie (film pełnometrażowy). Ale i nowele chwytające fragmenty ma- ją dużą wartość. Trzeba jednak było tym bardziej wnikać w kli- mat pracy młodzieży w Nowej Hucie. Podpatrzyć setki szczegółów — anegdot, wydarzeń, portretów, zwyczajów i gestów. I z środka sa- mego życia, które tu tworzy ludzi w pół roku a w rok przemienia do niepoznania, należało wyprowadzić pomysły scenariusza i jego akcję. Szkoda że wszystkie opowiadania nie wiążą się z Nową Hutą. Bo i wiejskie opowiadanie (Sprawa ko- nia) mogłoby pokazać co to znaczy droga otwarta do fabryk, co sprawia na wsi wpływ tych, co poszli na bu- dowę.

W imieniu tysięcy kobiet zatrud- nionych przy budowie Nowej Huty Zdzisława Kwietniewska zgłosiła słuszne pretensje o marginesowe po- traktowanie roli kobiety.

— Przecież kobiety na równi z mężczyznami budują Nową Hutę. Dlaczego więc mówicie na drugi raz. My nie chcemy, aby nas pokazywano tylko w scenach miłosnych, ale rów- nież w codziennej pracy i walce... Także przedstawiciel nwohutnic- kiej inteligencji technicznej, inż. Szy- mański, oceniał film pozytywnie miał kilka zastrzeżeń pod adresem jego realizatorów.

— Dlaczego inżynier na budowie Nowej Huty został usunięty na dru- gi plan? Tak to wygląda jakby in- teligencja techniczna nie włączyła się jeszcze w proces wielkiej budo- wy. Tymczasem wiemy, że jest ina- czej. Takich inżynierów, którzy nie nadążają, a nas już nie ma... nie trzymalibyśmy ich obecnie ani przez godzinę...

Władysław Blachut

ZOFIA SZPROKOFF

PRAWDZIWE OBLCZE WROGA

O POWIADANIA „Jacka Bocheńskie- go” są wśród książek poświęco- nych sprawom wsi pozycją wario- ściową. Obejmują one lata 1945 — 1949, dając jasny i cenny obraz toczącej się wsi, walki klasowej, odsłaniając bez- względną i ostryść tej walki, jej zło- zoność i różnorodność formy. Ludzie „Wiosny”, „Władzy”, to nie schematyczne kukiel- ki, zatwierdzające swą przynależność klasową odautorską charakterystyką i deklaracyjnymi przemówieniami. Bo- cheński ukazuje ich pozycję klasową w konkretnym działaniu, w toku walk i sprzecznosci, które naprawdę istnieją, nie tylko w intencji autora. Decyduje o tym historyczne, dialektyczne spojrzenie na dzieje wsi w omawianych latach, zrozumienie dialektyki walki, dojrzewanie jej zmieniających się form i przyczyn, dla których one ulegają zmianie.

Rok 1945, to jawny bandytyzm, jawna wrogość kulaka. Głna od kul setki, dzia- łający wiejskich przeprowadzających re- formę rolną. Ale już powoli wyrasta na wsi aktyw polityczny spośród dawnych członków AL. Potem nadziewa kulaka na utrzymywanie istniejących stosunków spo- łecznych i ekonomicznych na wsi oprze- się na polityce Mikołajczyka, a walka klasowa, chociaż eliminuje się z niej po- woli skrytobójcza kula, nie traci na swej ostryści. Nadzieje kulackie rozbiła uchwa- ła o spółdzielczość, ofensywa socjal- izeowania przez niego nierobótwa, roz- łożenie na wsi wsi wyrosł aktyw dzia- łał, rośnie świadomość biedoty. Znie- nia się więc forma działania kulaka, bronią jego staje się plotka, sabotaż, „cu- dy” — w ten sposób kulak szuka nowej formy przetrwania. Lecz i wtedy nie re- zygny on ze zbrodni, np. w lipie- 1951 r. w czasie akcji skupu złoza- ginie od kulackiej kuli robotnik z po- znańskiej fabryki. Dziś, wobec coraz bar- dziej zwycięskiego pochodu spółdziel- czości, wróg porzucił tę metodę i zostają one zdemaskowane, skompromitowane. Wobec rosnącej aktywizacji mas chłop- skich wróg często rezygnuje z walki ot- wartą, umie wśliznąć się do aparatu administracyjnego, do spółdzielni, przy- łączył się z usługowej czujności, prowadzi swoją robotę. Tak w roku 1951 przewodniczącym spółdzielni Rys Mały (pow. Rawa Maz.) został kierownik skle- pu GS, Jan Ekiel. Na obu stanowiących prowadził on szkodliwą robotę. Dzięki tolewarowaniu przez niego nierobótwa, spe- kulacyjnego handlu przez członków spół- dzielni — spółdzielnia rozpadła się.

Tak kształtował się przebieg walki kla- sowej na wsi. Taki był jej prawdziwy, nie- cenny obraz. I taki obraz znajduje się w opowiadaniach Bocheńskiego. W kwie- tniu 1945 r. banda WiN zabija bestialsko Józefa Piechnę, sekretarza Komitetu Gminnego PZPR. Współdziała z nią kulak Michalski, donosząc „jako należy z rządem”, otwierając sabotaż na dostawę zboża dla frontu. W r. 1948 Wojtkowski walczy z

nowopowstającą spółdzielnią sabotażem i zjadliwą plotką — dzieje się „cud” i „naoczni świadkowie” opowiadają ne- dzy kolosów, radzieckich. Ale w 1948 roku Wojtkowski nie występuje już sam, jego rezonerem jest sotys Węgrzy- ki. Gdy zaś w roku 1950 przewodniczący spółdzielni w Strużewie rozszadza ją od wewnątrz siłając nienawiść do nowo- hutnickiego gospodarstwa radzami „tward- reiki” — sam czerpiąc z tego „systemu” nieźle dochody, Michalski, ten sam, któ- ry przyczynił się do śmierci Józefa Piechny, lawirując i pieszcząc się przed władzą, przywdziewa maskę lojalnego obywatela. Bocheński odsłonił prawdziwe oblicze wroga, zawsze groźne i pełne nie- nawiści. Ukazał kolejno maski, które przywdziewał wróg, drogi jakim dążył do podkopania władzy ludowej. Dlatego opowiadania te są pełne prawdy histo- rycznej i pasji oskarżycielskiej.

Odsłaniając prawdziwe oblicze wroga, dialektykę toczącej się walki, stworzył autor żywe postacie, ukazał konflikty powstające nie z woli autora, lecz będące wykładnikami historycznej rzeczywisto- ści, nurtujących współczesną wieś pol- ska, umiał je przedstawić przekonują- czo i głęboko prawdziwie.

Historyczne spojrzenie na walkę klaso- wą wsi, czujna klasowa świadomość ka- żdącej masy wroga jest właśnie źródłem zerkania ze schematyzmem w ukazwa- niu konfliktów, powoduje, że z kart jego książki nikną marionetki panoszące się w naszej powieści o wsi współczesnej.

Opowiadania Bocheńskiego ukazują jak bardzo skomplikowana jest tocząca się walka, która toczy się nie tylko przeciw- ko jawnemu lub ukrytemu wrogowi, ale przeciwko całemu balastowi starych zwy- czajów, nawyków, starej mentalności. Staje ona częstokroć na drodze nowego, umie je rzecznie wykorzystywać wróg. So- lidarność fernali w Strużewie, tradycy- ne kpinki z „francuskiego strutu” który umożliwił ojcu Olejniczaka kupno gospo- darki — wszystkie te pozostałości daw- nego sposobu myślenia trzeba wykorze- nić, lub nadać im nowy sens, tak, by solidarność fernali działała nie przeciw spółdzielni, lecz by stała się siłą podpie- rającą nowy ustroj wsi.

Tam, gdzie wróg jest marionetką, gdzie konflikt jest prawdziwy, trudne i bolesne, bohater pozytywny, działacz Partii, jest człowiekiem pełnym, napraw- de działającym i żywym. Jego dojrza- łość i mądrość polityczna objawia się nie w wygłaszaniu referatów rozkazują- cych papierowych sprzecznosci i gromieniu marionetek wrogów, lecz w walce i jej konkretnych wynikach.

Tacy są bohaterowie książki Bocheń- skiego, najdroższymi pozycjami wsi współ- cześnie.

Zofia Szprokoff

*) Jacek Bocheński „Zgodnie z pra- wem”, „Czytelnik”, 1952.

BRONISŁAW GOŁĘBOWSKI

O AKTUALNY OBRAZ WALKI O SPÓŁDZIELCZOŚĆ

D ankowice z roku 1949 należą już dziś do historii. Witold Zalewski w książce pt. „Traktory zabiegają wio- snę” pokazał konflikt między biedotą or- ganizującą spółdzielnię, a kulactwem zasiliłmym aktywnie przez reakcyjny kler.

Mimo wierności w odwzorowaniu rzeczy- wistości (a może dzięki tej zbytniej wi-erno- ści) w reportażu pt. „W listopadzie masęgus wiosennym” uwidoczniły się dwie charakterystyczne tendencje:

- 1) Tendencja do ukazywania wroga w ataku, a biedoty w defensywie.
- 2) Z tego wynikająca tendencja do ukazywania kulminacyjnych momentów konfliktów klasowych na zebraniach. Spółdzielnia w Dankowicach organizuje się w ostatnim roku planu 3-letniego przed rozpoczęciem Planu 6-letniego. Nasz przemysł socjalistyczny, szcze- gólnie maszynowy, byt w pow. jeszcze w po- woiakach. Państwo Ludowe z trudem mo- gło zapewnić minimalną bazę techniczną dla pierwszych spółdzielni. Stąd typowy problem dla tych lat, problem termino- wego przeprowadzenia akcji jesiennej, staje się osiłą opowieści Zalewskiego. Spółdzielnia z Dankowic dysponuje jedy- nie słabym „Zetorkiem”, a w krytycz- nym momencie, już w późnym okresie, gdy orki jesienne się kończą, wypożycza „Buldoga” z PGR.

Zalewski pokazuje tylko w planach rozmach budowy spółdzielczej i pomoc państwa. Biedota wie, że państwo coraz więcej będzie mogło dostarczyć kolek- tywnym gospodarstwom maszyn, pozy- czek na inwestycje itp. Migdał na ze- braniu mówi o dwóch rzeczach: „Zetor- cie, dziesięciu milionach złotych na za- liczkowanie, trzystu tysiącach na re- mont budynków, o radiofonizacji”. Jest to w opowieści Zalewskiego pomost do nowego etapu rozwoju spółdzielczo- ści. W czwartym roku Planu 6-letniego, w roku, w którym robotnicy „Urssa” wy- produkowali dwudziestotysięczny trak- tor, nawet w Rzeszowskim, w typowo rolniczym i stosunkowo jeszcze silnie od- czuwającym wiekowe powroty, w kol- buszowskim, widać chłopów wyraźnie mo- cne maszynowe zaplecze dla nowo- powstających spółdzielni. Wróg już nie zaagituje chłopów przeciw spółdzielni, wy- kazując szkodliwość maszynowej upra- wy, czy też brak maszyn. Dobry przy- kład POM w Dzikowcu w tym po- wiecie stał się decydującym czynnikiem w powstaniu spółdzielni w sąsiedniej wsi Lipnicy, oraz w założeniu Komitetu Spółdzielczego w samym Dzikowcu.

To zadecydowało — obok wzrostu acej- ciągłe świadomości klasowej biedoty o fakcie, że obecnie po pierwszym Zje- dzie Spółdzielczości ruch spółdzielczy stał się ruchem masowym, podstawo- wym mas chłopskich, stał się potrzebą i codziennym problemem wsi.

Powstanie spółdzielni w Dankowicach było wyłomem w systemie indywidual- nych gospodarstw powiatu Biela Kra- kowska, a nawet województwa krakow- skiego. Spółdzielnia powstała z woli biedoty najbardziej świadomej, człon- ków partii, aktywów. Spółdzielczość nie była jeszcze ruchem mas chłopskich. Nie dziwnego, że w takiej sytuacji ataki wroga były silniejsze i wyraziste od kontrataków biedoty. Pisarz w tere- nie był zaskoczony aktywnością wroga i nieumiejętnością chłopów do nowego. Stąd u Zalewskiego pewna defensywność sit- rewolucyjnych w Dankowicach. Stąd konflikt nabrzmiewa na zebraniu, gdy kulacy chcą zrobić akcję aktyw- partynego, gdy rozprawienie się z nimi jest koniecznością narzucają biedocie przez wroga, a nie odwrotnie.

W 1949 roku w Dankowicach kulactwo czuje się jeszcze silne. Jest pewne kra- chu spółdzielni, grozi śmiercią organizato- rowi, bójkotuje nauczyciela partyjnja- ka, organizuje rozbijanie zebrania gro- madzkie, odciaga ludzi od pracy w spół- dzielni. W plotkach i kłamstwach zdo- łał o wspólnych żonach, wspólnych ko- tlach, o pracy dla urzędników i partyj- nych.

niaków itp. Nie ma jeszcze bowiem w pobliżu dowodów na fałszywość tego pro- pagandy w postaci przykrej, dobre- pracujących spółdzielni. Dlatego wróg może organizować blokadę ekonomiczną i społeczną spółdzielni. W walce klasowej chodzi o to, by ograniczyć i izolować kul- actwo. A przy kulactwie stawał się nie- jeszcze szkodliwym, ale w tym wzglę- dzie niebezpiecznym, wróg walczył o konieczność kolektywizacji rolnictwa. Metody walki klasowej rozwijającej się tam, gdzie powstaje spółdzielnia, są inne. Blokada ekonomiczna i społeczna now- ych spółdzielni przez kulactwo jest nie- możliwa. W walce jest ostrzejsza i bardziej skomplikowana, zamaskowana. Kłamstwa w rodzaju „wspólne kotły i żony” są już śmieszne, nie działają. Chłopi sami teraz już drwią z takiej propagandy Ku- lacy i ich popelnicy są nastawieni na metode szkodzenia. Żeby dziury nie zrobić, a krew wypić. Szukają argumen- tów, prowadzą agitację „rozszadzą”, szu- kają sojuszników o dużej operatywności. Na przykład w Lipnicy w okresie po- wstawania spółdzielni na wiosnę br. ku- lak Szczęsny, chcąc odciągnąć biedniaków od spółdzielni, kupił sobie staty i zwołał w nocy przy wódcie poufne zebranie ce- lem „prawdziwego” wyjaśnienia statutu. Ale „kulacki wykład” nie udał się. „Ku- mowci” biedniacy zaczęli się sprzeżać przy wielu punktach i skakać kulakowi do oczu. Zebranie wyszło na jaw. Wódka już nie podziałała.

W sąsiedniej wsi, w Dzikowcu, gdzie spółdzielnia jest już w końcowym stadi- um organizowania, wróg nakreślił kiero- wnika świetlicy, który „zaufanym” or- ganizował wspólne słuchanie „Głosu Ameryki”.

Nie tylko maszyn brakło spółdzielni w Dankowicach. Trudno było poradzić z powodu braku kadr z obiedą technicz- ną. Powiatowa Rada Rolnych, Maga, miejscowy buchalter i księgowy, jest nakręcany przez kulactwo, inżynier z powiatu jest wrogo usposobiony. Wróg może wyko- rzystać stare kadry, potrzebne spółdziel- ni, do swej roboty.

Obecnie ten problem wygląda inaczej. Nowe, młode kadry wybitnie pomagają chłopom w organizowaniu spółdzielni. To już fachowi agitatorzy spółdzielczości uzbrojeni w nowoczesną wiedzę agri- techniczną.

W wspomnianym powiecie Szkoła Rol- nicza w Werny (we wsi jest już spół- dzielnia od 1950 roku w czym jest sporo zasług młodych mierzurników ze szkoły) wychowała już wielu nakręconych kiero- wników świetlic, którzy „zaufanym” or- ganizowali wspólne słuchanie „Głosu Ameryki”.

Nie tylko maszyn brakło spółdzielni w Dankowicach. Trudno było poradzić z powodu braku kadr z obiedą technicz- ną. Powiatowa Rada Rolnych, Maga, miejscowy buchalter i księgowy, jest nakręcany przez kulactwo, inżynier z powiatu jest wrogo usposobiony. Wróg może wyko- rzystać stare kadry, potrzebne spółdziel- ni, do swej roboty.

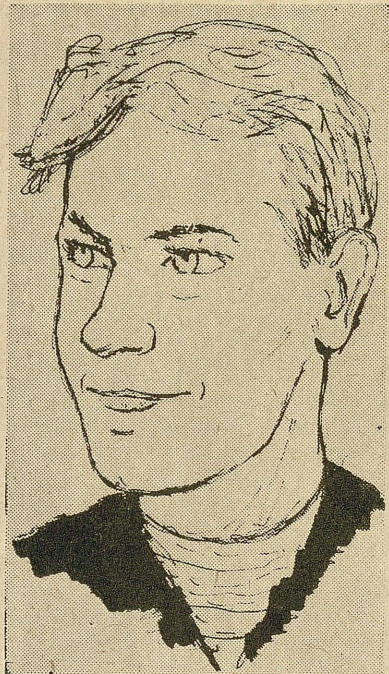
Bronisław Gołębowski

Portrety Oświatowców

CZESŁAW MICHNIAK

JÓZEF JEST NAUCZYCIELEM

II.



rys. B. Butenko

Na imię mu Józef. Zdrobniałe — Józec. Ma bujne, rozwichrzone blond włosy, uważne, trochę dziecinnie patrzące niebieskie oczy, energiczne ruchy młodego zdrowego mężczyzny. W kłapie granatowej marynarki, spracowanej jak kombinizon robotnika, nosi znaczek ZMP.

Urodził się jako syn małego chłopca w wiosce, która rozłożyła się między dwoma wzgórzami, zieleniąjącymi teraz młodym zytkiem. Odwiedziłem ją przed tygodniem. Widać małe maleńkie okienko, z którego koła pańskiego powozu i biczysko stanęta, strzelającego trochę na postrach, a trochę dla fasonu.

Potem poszedł do szkoły w wytartych porciętach, przerobionych ze starych ojcowskich spodni, z zeszytami i kawałkami pióra w rękach. Biegał tak co dzień 6 kilometrów, słońce nie słońce, skwar nie skwar, zawsze na bosaka.

Ala przerwał naukę, bo zabrakło pieniędzy na książki. Pasał więc gaski i to nie własne, tylko pobożnego, a bogatego Kasperka, który czasami poczęstował go kromką chleba, a czasami skórą wstążki, że chłopak nie mógł na tym usiedzieć.

Okupacja przyszła razem z kompanią żandarmów, którzy wyciągali chłopaków z domów na roboty do Niemiec, a gdy potem czerwone rakietki zapaliły się na granacie nieba, wszyscy już wiedzieli, że to ruscy towarzysze przyjechali na czołgach wielkich jak stodoły.

A za ruskimi przyszli murarze i wybudowali w wiosce szkołę.

*

Został nauczycielem. Początkowo było ciężko. Dla chłopca wiejskiego, który dopiero co uporał się z małą maturą, praca w szkole stała się trudną próbą.

„Chłopce — mówiła mu starsza rutynowana koleżanka, błyskając okularami — co ty, z motyką na słońce się porowasz, nauka, szkoła to nie okopywanie buraków”.

A Józec na zebraniach MOZ wygłaszał długie przemówienia o konieczności zmobilizowania się. Wymachując rękami jak wiatrak operował wielkimi sloganami w rodzaju: „Nie może nas zabraknąć”, „zewrzyjmy szeregi”, co drugie słowo brzmiało „socjalizm” we wszystkich przypadkach. Było to w istocie rzeczy słuszne, ale nie podbudowane nauką, żadnymi solidnymi wiadomościami fachowymi, praktyką, trafiła to w próżnię. Rzucał na prawo i lewo wykrzykniki, powtarzał bez sprawdzenia z beztróską ignorancją, gdzie usłyszane wyrazy i określenia. Mówił np.: „Robotnicy którzy mieszkają na perypetiach miasta...” a innym znów razem „wykształcenie humanitarne”.

Dopiero kiedyś, gdy jedna z liściowych koleżanek zwróciła mu uwagę — przerwał wół zdania i wielkimi ze zdziwienia oczami

mi powiedział po twarzach starszych kolegów, które przyobłąkił uśmiechki pobłażania.

Tymczasem trudności piętrzyły się — na lekcji trzeba było w kwadrans zerofować zagadnienie, mówić płynnie, spokojnie i z sensem. Czasami, gdy dobierał słów, w oczach dzieci czytał pytanie: No i co dalej, panie nauczycielu? Co dalej? Zbierał myśli i nie wiedział co dalej. Patrzył wtedy zamyślonym wzrokiem na słoneczniki zagładające do okien, na modre niebo. Z ulgą witał dźwięk dzwonka, oznajmającego koniec lekcji. Czy dzieci naprawdę wzięły o jego umiejętnościach? Może... Kto ich tam wie? Zaczął go ogarniać strach. Aż wreszcie pewnego dnia w VI klasie wstał jeden z uczniów i zapytał niepokojącym głosem: „Panie nauczycielu, gdzie leży Vietnam?”

„W Azji!” — odpowiedział Józec. „To ja wiem — rzekł młodec — ale w którym miejscu? Azja przecież taka ogromna”. „Zaraz, zaraz, jakby ci tu wytłumaczyć”. Wreszcie starając się nadać spokojny ton swojemu głosowi odpowiedział: „Jutro przyniosę wam mapkę i pokażę Vietnam”. Chłopcy usiadł zadowolony, ale Józec aż zatrząsł się ze wstydu. Po dzwonku nie patrząc na chłopców wybiegł przedkrokiem do wielkiego dziennika pod pachą. Zaglądnął do starej książki, oprawionej w czarne angielskie półno encyklopedii Orgelbranda. Vietnam? Skąd? Wtedy? Nie wiedział, że szukać trzeba Indochin. I wtedy dopiero zrozumiał, jak mało jeszcze umie. Wziął do ręki pierwszy lepszy podręcznik, zaczął czytać. Od tego dnia każdego wieczoru, do późnej nocy śledził nad książkami. Dookoła wszystko spało, tylko wiatr

czasami skrzypnął w więzaniach dachu, cykały świerszcze, to znów żaby kumkały swoją odwieczną pieśń.

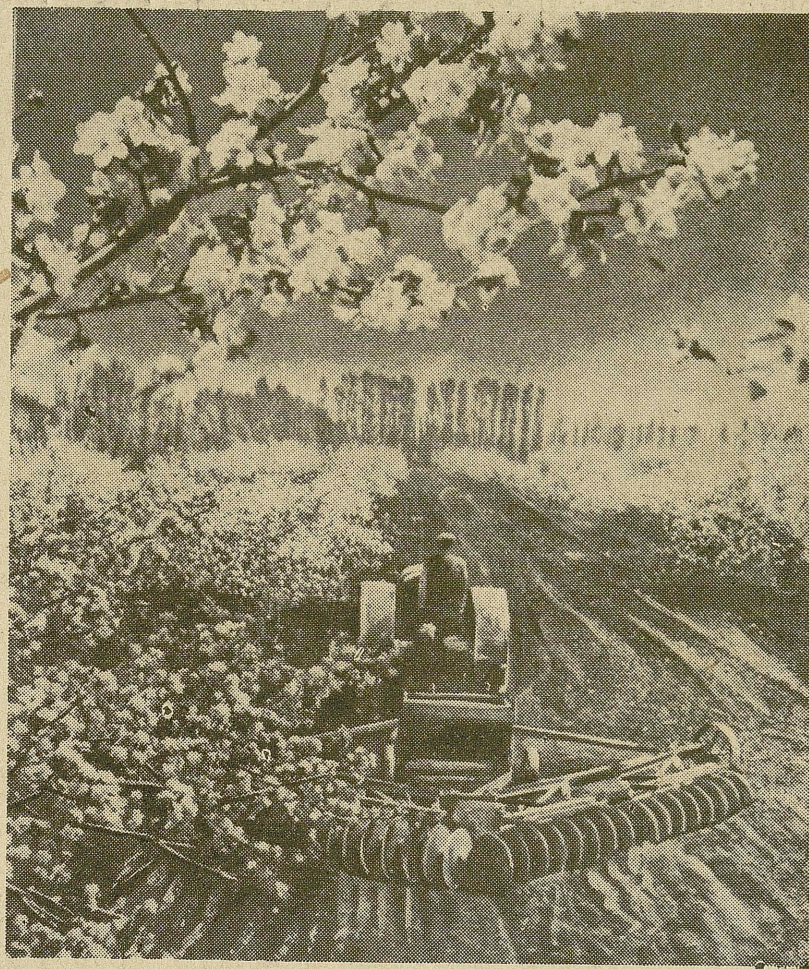
Skutki były widoczne. Coraz umiejętniej rozdzielał materiał lekcyjny, w czasie wykładów łatwiej budował zdania, celniej zadawał pytania. I coraz częściej patrzył dzieciom w oczy. W ten sposób ucząc się dojrzał wreszcie do świadectwa dojrzałości. Otrzymał nominację na kierownika szkoły w K. Nauki nie zaniedbał, zapisał się na studium zaoczne — Wydział Historii Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie.

Jedną z wizytatorek Wydziału Oświaty w Pińczowie opowiadała, że hospitaowała kiedyś jego lekcję o Polsce współczesnej. Dzieci dawały pełne i rozsądne odpowiedzi. Widać było, że czytają gazety, zapewne te, o których mi Józec wspominał: „Świat Młodych”, „Sztandar Młodych”, „Słowo Ludu”. Często zadawał im tematy piśmienne do domu, jak np. „Moja wies dawniej a dziś”. „Moja dyskusja z rodzicami”, a pewnego dnia zawiadził gromadkę do jednej z okolicznych wsi, w której jest spółdzielnia produkcyjna.

Wiele mówi się o nim w K. i okolicy. A przede wszystkim o tym, że ładnie się zachował wobec starego nauczyciela, dawnego kierownika szkoły, swego poprzednika, który z powodu choroby i niezdolności do pracy został emerytowany. Gdy ktoś podsunął myśl, że przecież mógłby wykorzystać mieszkanie służbowe, które ów starszy kolega z większą rodziną zajmował, Józec odpowiedział: „Niech sobie starszuszki mieszczą”. I chociaż miał zamiar odejść, a nauka zabierała mu w lecie czasu nocami, został w swojej komóreczce pospolu z gratami szkolnymi.

Słusznie nazywał go ktoś nauczycielem z krwi i kości. „Kocham swój zawód!” — mówił każdemu kto go odwiedził. Proponowano mu dobre posady, obie w mieście powiatowym, jedną płatną czterokrotnie wyżej od nauczycielskiej, a drugą na samodzielnym kierowniczym stanowisku w administracji państwowej. Wszystkie oferty odrzucił. Odpowiedział bez przerywania: „Wolę moje dziewczuchy i chłopaków, niż biurko, czarne narkawki i pieczątki”. Powiedział jeszcze — „W naszej wsi nie ma elektryczności, błoto jest do kolan a ugorów też nie brak w chłopskich duszach — zostaną przy plugu oświaty”.

Czesław Michniak



TEOFIL KOWALCZYK

Jak Ażajew pomagał chłopom w Bogaczowicach

GDY Zablonty Jakub stanął na trybunie zapadła cisza. Uchylał nawet szmery po kątach sali. Głębokie brzdęły na jego twarzy przykuwały uwagę. Miał barwę spalonej w słońcu ziemi. Siwe oczy przesunęły się czujnie po słuchaczach. Człowiek nie młody, wlosy przyprószone siwizną. Ale gdy zaczął mówić powoli po sali wiosną. Przybliżyły się do okien młodziutki drzewa z jeleniogórskich ogrodów. Stuchaliśmy z zapartym oddechem.

Zablonty, chłop ze Starych Bogaczowic, przemawiał na zjeździe produkcyjnych czytelników w Jeleniej Górze. Mówił tylko o jednej książce, cytował z niej całe zdania, analizował ich treść. Już z pierwszych słów rozumieliśmy, że mówi o swoim najlepszym przyjacielu. Widać było, że nie jedną godzinę z nim spędził, że ocenił go całym 55-letnim doświadczeniem życiowym. O cenie wypadła dobrze, bo Zablonty zapisał się i gestykulował. Chwilami wydawało się, że mówi nie chłop polski z Bogaczowic, ale Ażajew w powieści „Daleko od Moskwy” lub, że radziecki powieściopisarz wystąpił w Jeleniej Górze do wadzących chłopów.

„Na nikogo się nie oglądać, ale liczyć na siebie, nikogo nie obwiniać, lecz żądać od siebie”. Gdy Zablonty przytoczył to zdanie, twarz jego rozjaśniła się, oczy zabłyśły mocniej. — W tym jest głębia prawda — powiedział. — Budujemy socjalizm, rozwijamy na wsi spółdzielczość produkcyjną. W walce o lepsze jutro osiągamy zwycięstwa, ale spotykamy nas również dotkliwe klęski. Gorycz ich jest nieraz trudna do zniesienia. Łamię i deprawujemy staby, dezorganizujemy kolektywy, wypaczamy słuszne zamierzenia. — Na kogo liczyć? Na kogo zwać? Na kogo?

Stare Bogaczowice leżą „daleko od Warszawy” i daleko od linii kolejowej. W Starych Bogaczowicach trwa budowa nowego, toczy się walka ze starym. Młoda, nie okrzepła jest spółdzielnia produkcyjna. Beridze i Kowszow budując rurociąg walczą z tajgą, ze śniegiem i mrozem, wychowywali kolektyw budowy — ludzi. W Bogaczowicach nie ma syberyjskiej tajgi, mrozów i śniegów, ale są ludzie. A w ludziach istnieje jeszcze przeciwieństwo prządów, mroźne zakłamanie, bije w nich zamieć wrogiej propagandy. O tyle warunki rozbudowy spółdzielczości produkcyjnej w Starych Bogaczowicach pokrywają się z warunkami budowy rurociągu na dalekiej Syberii. Jakub Zablonty jest aktywistą gromadzkim, sekretarzem miejscowej Podstawowej Organizacji Partyjnej, a więc jednym z kierowników socjalistycznej budowy wsi. Tam rurociąg — tutaj spółdzielnia produkcyjna. Rurociąg i spółdzielnia są obiektami socjalizmu. Rurociąg budowano daleko od Moskwy, spółdzielnia produkcyjna w Starych Bogaczowicach buduje się daleko od Warszawy. Beridze i Kowszow musieli liczyć na siebie. Dlatego bohaterowie powieści „Daleko od Moskwy” są tak bliscy chłopom ze Starych Bogaczowic. Nie szybko dojeżdża się z Bogaczowic do Komitetu Powiatowego PZPR w Wałbrzychu, a co mówić o Warszawie! Trudne sprawy trzeba nie raz rozstrzygać na miejscu — natychmiast, popełnione błędy analizować samemu również — natychmiast i powziąć decyzję twardą także — natychmiast. Dlatego Zablonty tak często zaglądał do powieści Ażajewa, ba, notował w zeszycie ustępy z powieści, które mogły dla niego stanowić drogowskaz w pracy, uczył się ich na pamięć, dyskutował nad nimi z towarzyszami pracy. W ten sposób, jako działacz społeczny pogłębiał

nie tylko swoje wykształcenie, ale stawał się równocześnie agitátorem czytelnictwa.

— Człowiek powinien być z siebie niezadowolony — mówił Zablonty. — Stąd będzie się rodzić samokrytyka. Mamy w spółdzielni tow. Młotkowskiego. Przed wojną i w czasie wojny był farnalem we dworze. Nie umiał czytać ani pisać. W ogóle ciemny był farnalem. Marzył całe życie, żeby mieć własną ziemię. I otrzymał ją. Cate 8 hektarów. Cóż z tego, kiedy nie umiał gospodarzyć. Gdy wstąpił do spółdzielni — płakać się chciało. Jego ziemia była zachwaszczona, było — żebyś miotał pozbijał! I w spółdzielni miała z niego była początkowo pocięcha. Denerwowało nas to bardzo, bo człowiek był z niego do wszystkiego go, chętny tylko taki niezadowolony. Winę zapaliliśmy na niego. Wtedy czytalem własnie Ażajewa „Daleko od Moskwy” i zapamiętałem to zdanie: „nikogo nie obwiniać, lecz żądać od siebie”. Zastanowiło mnie ono bardzo. Czy winien jest tylko Młotkowski? A my cośmy dla niego zrobili, żeby żądać więcej? Czy nauczyliśmy go czytać i pisać? — Nie.

— Jakże można mieć pretensje do człowieka, któremu nikt pomóc nie chce? Zapomniał o Młotkowskim kapitalizm, a my czymśś pamiętaliśmy? Zawołaliśmy go więc na aktywny partyjny, namówiliśmy do wstąpienia na kurs dla analfabetów, pomagaliśmy mu w nauce. Dzisiaj Młotkowski czyta książki, szczególnie z dziedziny hodowli i tak się do niej zapalił, że został produkującym oborowym. Racjonalnie karmione przez niego krowy dają więcej mleka i więcej przynoszą spółdzielni dochód. Gdy o tym myśle dochodzę do przekonania, że pomógł nam Ażajew. Tak, Ażajew i jego książka „Daleko od Moskwy”. Ale trzeba umieć czytać książki — dodał Zablonty. „Daleko od Moskwy” jest powieścią o budowie rurociągu naftowego, o ludziach pracujących w tym celu, więc myślałby kto — skąd jej do krow i mleka? A przecież to prawda, że gdyby nie Ażajew — to Młotkowski może do dziś nie umiałby czytać i pisać, nie in-tensywnie by hodował bydło i naseza spółdzielnia nie miałaby wórowego oborowego i większego dochodu z obory. Lubię tę powieść.

Tak. Powieść radziecka jest konstruktywnym elementem budownictwa socjalistycznego przez to, że o czymkolwiek by traktowała, z jakiegokolwiek dziedziny nie brala by twórczo — czyni zawsze jedno: kształtuje człowieka, uczy go socjalistycznego sposobu myślenia. Wypowiedź uczestnictwa III etapu kursu czytelnictwa potwierdziła tę prawdę. Zablonty Jakub nie jest osobnym świadkiem tej prawdy. Literatura i czytelnictwo pogłębiają rewolucję na wsi. Uczestnicy zjazdu produkcyjnych czytelników na wsi w niezwykłą serdeczność mówili o literaturze radzieckiej, o korzyściach jakie odnoszą z przeczytanych książek. A mówili nie tylko o Ażajewie i jego powieści. Nie mniejszą poczytnością cieszy się „Zorany ugor” Szotachowa, „Jak hartowała się stał” Ostrowskiego, „Zniewa” Nikolajewej i inne.

Zablonty przemawiał ciekawie a prosto Daleka Syberia Ażajewa i Stare Bogaczowice w powiecie Wałbrzych stawały się dlańwie bliskie. Zrozumiał, że jest tak blisko. I tam i tutaj ludzie pracują nad jednym: żeby życie u nich było lepszym i piękniejszym. Pisarz radziecki został przyjaciелеm polskiego chłopca — odwrotnie. W stożbie dla jasniejszego jutra.

Teofil Kowalczyk

EDWARD BERNSTEIN

JA W SZEŚCIOŁATKI...

Ja w sześciolatki ramach się nie mieszczę,
Kiedy nad dzieckiem schylam czułą dłoń
I w oknach drży błękitna świtu przestrzeń,
Skrzypem okiennic napęnlając dom

W dalekie lata wybiegam — marzyciel,
Choć jeszcze będą troski, gniew i ból —
Ja ponad wszystko kocham przyszłe życie:
Czas komunizmu wśród ojczystych pól.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

SIOSTRY

Mówić o samej tylko Krystynie, pomijając Danutę? Nie, tego w żaden sposób uczynić nie można. Siedzimy na ławeczce w małym parku przy rynku małego miasteczka Aleksandrów. Spoglądamy w stronę malej stacyjki, skąd przybywają co jakiś czas tramwaje z Łodzi i zawracają. Siostry... obie blondynki, jednakowo starannie z męską ubranie, bliźniaczko uczesane, te same oczy. Na świat przyszły także tego samego dnia — w styczniu 1933 roku. Krystyna nieco może śmieszna odpowiada na pytanie.

— Najważniejszy dzień w naszym życiu to urodziny. Ojciec chciał mieć chłopaka, żeby łatwiej znalazł pracę i do domu co przynosił, a tu masz ci los, dwie dziewczyny na raz! Wiece, ojciec zbił matkę, tak bardzo był naszym przyjacielem na świat rozgorzcony. A później prał nas, co roku mocniej.

Dziewczęta wracają w dawne lata, na ojcowe 3 ha nienajlepszej ziemi w Budach Wolskich, wracają do starego Jana Kubika, nieprzejednanego kiedyś wroga swoich córek. Danuta wybuchła nagle śmiechem:

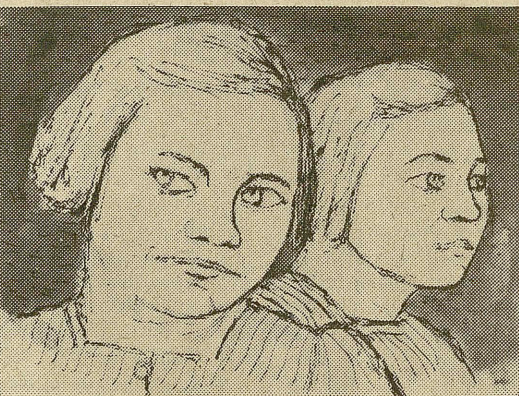
— Parę lat temu, byliśmy już duże, po 5-ciu oddziałach, złoży nam skóre ostatni raz i powiedział, że nie podejmuję się wydać żadnej za mąż, takie marne partie stanowią. A my chyc do Aleksandrów do fabryki na piechotę, bo to niedaleko.

Wiosną 1949 roku Krystyna pierwsza ruszyła do miasteczka. Przyjęto ją z miejsca do pracy w Zakładach Przemysłu Pończosznego. Postawiła tylko jeden warunek, że przyjmą również i jej siostrę. Nie mogła zrozumieć, czemu się tak jej siostrą uczeszył dyrektor i pocałował świeżo upieczonego robotnika w czoło.

A w rok później obie Kubikówny, już zetępowki przystąpiły do walki o odzyskanie ojcowego serca. Był to jedyny w swoim rodzaju szturm, który po wielu dopiero miesiacach miał doprowadzić do całkowitej zgody w rodzinie Kubików i — co najmniej ważne — powstania w gromadzie Komitetu Założycielskiego. Zdobyć miłości ojca — czyż można podjąć bardziej ludzkie, bardziej porównujące zadanie, zwłaszcza jeżeli walka o ojca, tak jak ją widzieli obie siostry, miała wyraźnie społeczny charakter. Stary musi wyjść na czoło postępowych chłopów gromady.

Ale początkowo stosunki były bardziej napięte niż kiedykolwiek. Kubik nie wierzył, że dziewczęta zarabiają ponad 2000 złotych w fabryce. Sądził, że je poręczają. aby mu bakę świecić pozorna zamożnością. Sukienki, nowe sukienki oglądał podejrzyliwie i tylko Bóg razły wiedzieć, co myślał o ich pochodzeniu. Uległa go nieco piękna krowa, kupiona przez córkę. Lecz nie na długo.

— Janie kochany, uważajcie, bo bliźniaczki chcą się wam za te kije odwdzięczyć, do komun-



rys. B. Butenko

stów przystały i za to im płacą, a nie za robotę. Pamiętajcie to, żeby robotnicy dobrze zarabiali!

Ta sąsiadka propaganda spowodowała, że stary nie dał się złapać na wędkę, uzbrojoną w haczyk materialnych korzyści. Dziewczęta zmieniły taktykę.

Na wiosnę 1951 roku Kubik szczególnie narzekał na GS. Nie dostał ani kilograma nawozu. Nie tylko zresztą. On. Danuta zmobilizowała wiejskie koło ZMP do oczyszczenia atmosfery w spółdzielni. I pod jej przewodem spekulanci zostali ukroćeni. Krystyna wstąpiła do Komitetu Sklepowego, jeździła nieraz po PZGS, dostawy do GS usprawniły się, podział jest sprawiedliwy. Stary wyraźnie zaskoczony i wzruszony, przyjmował od małych dziewczyn pierwsze gratulacje w życiu. I to z powodu dzielnych bliźniaczek. Matka Kubikowa opowiada, że od tamtej wiosny ciepły się do niej odnosi, jakby chciał ją przeprosić za pretensje, iż urodziła dziewczynę. A one wyszły na czołowe aktywistki gromady i na jej terenie zyskały powszechne uznanie, które przyniosło im na ojca.

W każde rano wędrowały siostry do fabryki, po południu pędziły szybko na rodzinną wieś, trzymając się za ręce, Kubik od dwóch lat przoduje w siewach wiosennych i zbiorach. Ale kiedy brał dyplom z rak przedstawicieli władz powiatowych oświadczył, że córki też ma w pracy zastawione. Plotki sąsiadów już nie skutkowały.

— Janie, do kolchozu was wepchały te bliźniaki i będziecie na kupie biedy siedzieli, a my z wami. A one jak hrabnie we fabryce.

Jan jednak nie wierzył, aby takie kochane córki mogły pędzić życie do kolchozu. Jakże więc siostry uczyniły z ojca pierwszego w gromadzie szermierza sprawy socjalizmu? Krystyna powiedziała, że to nie one, lecz książki, radio, praca, wy-cieczki.

Kupili jeszcze w 1952 roku radio na raty. Stary, kiedy tylko nauczył się majstrować przy aparacie, nie odchodził od głośnika do późnego wieczoru. Siostry zauważyły, że słucha pilnie dzienników, uważa przy cyklu przyrodniczym Wszech-nicy Radiowej. Schodził się sąsiedzi, taka sama jak on biedota, dumach, z czego ten świat powstał, dziwili się nie widząc w procesie budzenia się życia woli bożej. Może wierzyli, a może nie. Stary brał chętnie do czytania książki, najpierw głównie powieści. Przeprosił się także w końcu z broszurami, opisującymi życie w rozmaitych spółdzielniach produkcyjnych. Kiedyś wybrał się niespodziewanie do kolektywu w Srebrnej i rzekł: „Poprawili się tego roku!” — I ani się spozostregł, jak wraz ze wzrostem kulturalnych potrzeb rósł jego, starego Kubika, autorytet w gromadzie.

— Skąd u Jana taki łeb wszystkowiedzący? Przecie po córkach nie się dziedziczy.

Jesienią ubiegłego roku, kiedy Kubik uwinął się na polu pierwszy, oczywiście przy pomocy kochanych córek, ruszył z wycieczką na teren województwa wrocławskiego oglądać tamtejsze spółdzielnie produkcyjne. Wrócił milczący, jakby trochę nachmurzony. Przez jakiś czas więcej, studiował wprost dzieje kolchozów radzieckich, jeździł do kina w Aleksandrowie na filmy o wsi radzieckiej, porobił znajomości z robotnikami, kolegami córek. Ale widać było, że się wewnątrz gryzie, jak chyba nigdy w życiu.

— Ojciec się strasznie szamotał całą zimę. Wiedział już, że spółdzielnia to jedyny wyjście, ale się bał, co powiedzą ludzie, wobec których odgrywał się od socjalizmu jak diabeł od święconej wody. Nam nic nie mówił, to z miłości, ogładał się na kolegów z fabryki. Pomogli mu.

Zetępowcy zradionizowali Brudy, propagowali na całym spółdzielczości, przynosili do wsi książki, urządzali imprezy artystyczne. Sława tego kulturalnego ożywienia spadała w części na Kubika. Wreszcie wiosną tego roku Kubik postawił na zebraniu gromadzkim sprawę Komitetu Założycielskiego. Danuta mówi wesoło:

— Duszę miał na ramieniu, ale był zdecydowany. Myślał, że go wygwizdają, a zdecydowało się od razu pięciu chłopów. Patrzo, Kryśka, kto to idzie!

Zbliżał się ku nam młody człowiek. Nim doszedł, wyjaśnili mi siostry, że to August Chudy, uczeń ślusarski. Usiłował przekonać na własną rękę ojca o konieczności założenia spółdzielni produkcyjnej w Piaskowej Górze i tak dostał pasem po skórze, że z płaczem zgłosił się do przewodniczącego ZMP przy fabryce prosiąc, by go przyjęto. Oddano go siostrą pod opiekę.

— Wyrobił się, ma dopiero 17 lat. Już przecież nie płacze.

Wiesław Jażdżyński

SERGIUSZ JASKIEWICZ

Czytelnictwo prasy na nowym etapie

PRZYKŁADEM niechaj tu będzie mój teren województwa łódzkiego, gdzie przed wojną 1 egz. pisma (w dziennikach i czasopiśmie) przypadał na 30-50 mieszkańcó. Dziś typowym zjawiskiem jest fakt, że wojenna przeciętna województwa wynosi w r. 1950 — 1 egzemplarz na 6,7 mieszkańca, w 1952 — na 3,9 mieszkańca, a w styczniu br. — na 3,3 mieszkańca. Dalej — że np. w tomaszowskim powiecie jeszcze przed trzema laty 1 egzemplarz przypadał na 7,2 mieszkańca, gdy dziś na 1,7 mieszkańca w kutnowskim przypada dziś 1 egzemplarz na 2,5 mieszkańca, gdy jeszcze w 1950 r. przypadał na 4,3 mieszkańca. Wreszcie, że jeszcze w 1950 r. przypadało ludności wiejskiej w województwie łódzkim na 1 egzemplarz „Głosu Robotniczego” — 607, dziś — 114, na 1 egzemplarz „Gromady — Rolnika Polskiego” w r. 1950 — 82 mieszkańców wsi, w styczniu 1953 r. — 14 itd. itd.

Z tych kilku cyfr widzimy już jak nieustannie znikają białe plamy na mapach czytelnictwa we wszystkich zakątkach. W minionym etapie zdobyliśmy miast, wstępnym bojem sięgnęliśmy do wsi. Oto treść minionego okresu. I tak nadszedł nowy etap walki o jakość czytelnictwa, o rozwój czytelnictwa świadomego i zorganizowanego, o dotarcie z właściwym piśmem do właściwej grupy czytelników, będący jednocześnie etapem tworzenia kolektywów spośród terenowego aktywu, odpowiedzialnych za rewolucję kulturalną w gromadach i gminach.

Mimo bowiem olbrzymich postępów dalecy jesteśmy jeszcze od takiego rozwoju czytelnictwa na wsi, jakiego mamy prawo w naszym, stawiającym na Człowieka i Naukę, ustroju — oczekiwać. I dalecy jesteśmy od powszechności wysiłków w tym kierunku. Trzeba wyraźnie stwierdzić odosobniony jak dotąd wysiłek służby gazetowej Polskiej Poczty na terenie wiejskim. Generalnie rzecz biorąc listonosz wiejski jest jedynym działaczem w służbie słowa drukowanego na wsi, i nie spotyka on ani poważniejszej pomocy, ani często nawet zrozumienia dla swej pracy. W tych warunkach zaś nie trudno z kole i w szeregach pocztowych znaleźć ludzi bądź to nie doceniających wag zagadnienia popularyzacji czytelnictwa, bądź to po prostu zmęczonych samotną orką na ugorze. Aparat pocztowy niejednokrotnie pochłonięty robotą „na ilość” nie analizuje rozmieszczenia tytułów, nie usiłuje dotrzeć „z właściwym piśmem do właściwego czytelnika” — nie przywykł jeszcze brać poważnie pod uwagę strukturę terenu i potrzeb terenu wynikających ze struktury. Jasnę zaś, że taka robotka mimo całego „patriotycznego” zrywu — nie da i dać nie może takich rezultatów, jakich oczekujemy i jakie są naszym celem.

Oto w rejonie Piotrkowa odbył się niedawno „chód propagandowy listonosza”, obejmujący 20 placówek pocztowych. Udział w tej akcji brało 67 listonoszy. Notuje się współpracę RUCH-u, za to meldunek oficjalny mówi krótko: „pomocy organizacji masowych nie było”. Lakońska ta uwaga zawiera w sobie dużo smutnej treści. Bo czyż nie jest smutne, że w ofiarnej, konkretnej robocie piotrkowskich listonoszy nie widzi się żadnego zetknięcia, działania ZSCH lub instruktora Upowszechniania Wiedzy Rolniczej z P.R.N.? Czy sprawa należytego dotarcia tytułów fachowo-rolniczych, sprawa właściwego rozmieszczenia i nasycecia nimi terenu wiejskiego jest wyłącznie sprawą Poczty, RUCH-u? Czy sprawa czytelnictwa „Szczepanu Młodych” lub „Pokołenia” na terenie wiejskim jest wyłącznie sprawą Poczty i ani trochę nie dotyczy tamtejszej organizacji zetempowskiej? Nie! Po stokroć nie! Z odosobnieniem działalności kulturalnej, z przywiązaniem jej tylko do ludzi zawodowo zainteresowanych trzeba radykalnie skończyć. Trzeba nam ściśle łączyć zagadnienia produkcji z zagadnieniami kultury, tak jak one z natury swej łączą się ze sobą.

Kiedy Wiktor Saja, ślusarz ze Starachowic, rzucił hasło walki z brakorobstwem — stało się to głośne w całym kraju. Kiedy listonosz wiejski z Witoniu, pow. łęczyckiego, Stanisław Szczepański, podchwycił to hasło w zastosowaniu do zagadnień czytelnictwa, podejmując konkretne zobowiązania *duchowe* na odcinku umasowienia czytelnictwa i poprawy jego jakości i wzywał kolegów — listonoszy z województwa i kraju do współzawodnictwa — ukazały się jedynie wzmianki w lokalnych dziennikach na wniosek jedynie służby popularyzacyjnej łódzkiego RUCH-u, zresztą ograniczone do zasięgu województwa. Nadano temu zagadnieniu jakieś jakby „wstydlive” piętno drugorzędności i znaczenia wyłącznie lokalnego. Dlaczego? Bo to nie produkcja? Osobiste nie wydaje mi się to słuszne i uważam za celowe podjęcie na ten temat szerokiej dyskusji przez chłopów jak i przez właściwe czynniki. Jak Majakowski — „chcę żeby do bagietki (w naszej sytuacji — do traktora, węgla, włókna) przyrównano piórno”. Żeby „o robocie wierszy z ramienia Polibura” — „Wraz z topieniem żelaza i obróbką stali” — mówili wszyscy ci, którzy budują potęgę przemysłową, rolniczą, handlową i wszelką inną, a więc i kulturalną. A „robotą wierszy” to — w pojęciu szerszym zagadnienie nie tylko czy-



telnictwa, jego wzrostu, nie tylko zagadnienie „produkcji” wierszy, ale i cała ogromna problematyka „dotarcia do właściwego czytelnika”, problematyka odpowiedzialnego przeszerzenia tej roboty także na szerszy kolektyw ludzi spoza Poczty czy RUCH-u, problematyka serdecznego wglądu w formy i poszukiwania środków prowadzących do celu — do zwycięstwa rewolucji kulturalnej na wsi. Sprawa właściwej polityki kolportażu.

Wydział Rolnictwa WRN ku ogólnemu użytkowi przyszedł RUCH-owi łódzkiemu z niemłą pomocą — dzięki zrozumieniu wagi tego zagadnienia materiały popularyzacyjne, recenzje pism rolniczo-fachowych wydawane przez LUCH docierają dziś poprzez lektorów Oddziału Upowszechniania Wiedzy Rolniczej na 700 punktów województwa. Nie trzeba dokumentować skuteczności takiego podejścia do sprawy. Natomiast wydział Oświaty Miejskiej Rady Narodowej w Łodzi powitał wysłannika RUCH-u stwierdzeniem, że „z takim handlowym interesem był już u nas DOM KSIĄŻKI...” (Chodzi o wspólną akcję przeciwdziałania spadkom letni i w kolportażu pism młodzieżowych z racji zbliżających się wakacji).

Wydaje się dziwne, a nawet krzywdzące dla ludzi RUCH-u czy Poczty, którym na co dzień mówi się, że nie są „kolporterami” w przedwojennym „handlowym” rozumieniu tego słowa, lecz że są „rolnikami” — rozumiejąc ich stosunek, spotyka ich „kłamliwość” zawodowa, zasadniczy brak zrozumienia sensu tej roboty.

Co powiedzieć, jeśli Łódzki Zarząd Okręgowy Związku Zawodowego Pracowników Rolnych nie dysponuje bieżąco ani jednym egzemplarzem swego centralnego organu, „Robotnika Rolnego”, bo „zapomniał”? Co zaprenumerować i wciąż zapomina? Czy tu nie trzeba kłonicą, a może jeszcze silniej? Jakaż może być popularyzacja w terenie, jakaż wagę mają ewentualne okólniki Zarządu Okręgu do niższych szczebli związkowych, zalecające na codzień i od święta czytelnictwo „Robotnika Rolnego” i zjednywanie prenumeratorów na to pismo w „dołach”, jeśli „góry” nie wiedzą nawet co popularyzują, jeśli „góry” nie znają swego centralnego organu, jeśli instruktorzy Zarządu Okręgu nie studiują jego pisma, nie śledzą jego rozwoju? Formalnie pozytywny stosunek do czytelnictwa i jego umasowienia trzeba zmienić na stosunek uczuciowy, obowiązek wzbogacić entuzjazmem, „rację stanu” — sercem i wiedzą.

Wtedy wszyscy dostrzeżemy i zastanowimy się co to znaczy, że np. w całym powiecie łowickim mamy tylko jednego prenumeratora pisma „Mechanizator Rolniczy”, a w całym powiecie skierniewickim zaledwie 3 prenumeratorów „Miesięcznika Instrukcyjnego ZMP”. Wtedy zrozumimy wszyscy, że nie cyfry globalne są ważne i nie one same świadczą o zwycięstwie, lecz że jeszcze ważniejsze jest, kto co czyta, gdzie, jak i dlaczego. Wtedy, jeśli oprzemy się na wspólnym wysiłku szerokiego kolektywu na Radach Czytelnictwa, kiedy wytworzymy w naszej wsi taką sytuację, by dojrzał już teraz nawet światłaśli działacz wiejski, ZSL-owcy, ZSCH-owcy, Koła Gospodni, przodownicy rolnictwa, racjonalizatorzy i przedstawiciele innych organizacji masowych, gminnych i powiatowych rad narodowych itd. — stali się w pewnym sensie sami współpopularyzatorami i współkolporterami słowa drukowanego — wtedy dopiero będziemy mogli mieć świadomość roboty dobrze robionej. Trzeba skończyć z odosobnieniem wysiłku Poczty, „Ruchu” i jednoosobowych wydziałów propagandy organizacji masowych. Trzeba włączyć wszystkich aktywistów i wszędzie do roboty na odcinku kulturalnym, podnieść autorytet tej roboty, bić się o pełne zrozumienie dla niej zawsze i wszędzie. Im prędzej to właśnie zrobimy, tym prędzej faktem się stanie ostateczne i prawidłowe zwycięstwo naszej rewolucji kulturalnej na wsi.

Sergiusz Jaskiewicz

KAZIMIERZ ZYGMUND

CZYTELNICZY RADZIECKIEJ PRASY

TRUDNO jest poprowadzić rozmowę z kierownikiem przedsiębiorstwa „B” Zakładów imienia Stalina — Wacławem Potockim. Pełno u niego interesantów. Jeden wchodzi, drugi wychodzi. Już od dwu godzin prowadziłem z nim bynajmniej nie rytmiczną rozmowę, bo co chwila ktoś wpadał, a wszyscy mieli ważne sprawy do załatwienia. Tematu nie mogliśmy więc wyczerpać.

Raz była to robotnica, która przysłała załatwić formalności związane z przyjęciem do pracy, potem przyszedł majster i od razu huknął: — Jaki kierownik, długo będziemy czekać na niedopięty? Wózkary znów dziają się ma!

— Nie martw się, stary, sami przejdą podwieziemy.

— Jaki sam? — majster poczerwieniał.

— Chodzi ci o to, aby prządkom pomóc, czy nie?

Majster nie odpowiedział. Poczerwieniał tylko jeszcze bardziej, chwilę postął i skierował się do wyjścia.

— Znow możemy rozmawiać — zwrócił się do mnie Potocki. — O coście to pytali?

W czasie tych licznych przerw w rozmowie nie udało mi się wcale, bo z tego, co mówili robotnicy przychodzący do kierownika można się było dowiedzieć wiele ciekawego.

Kiedy człowiek ten kończy swój dzień pracy, kiedy wreszcie wykona-

je swoje zobowiązania produkcyjne? — myślałem. Pod wpływem tej myśli zwróciłem się do Potockiego z zapytaniem: — Powiedźcie mi, kierowniku, kiedy kończy się wasz dzień pracy? — Trudno mi określić. W każdym razie dzień jest dla mnie za krótki — mówiąc to uśmiecha się pogodnie. Zdarza się, że koło piątej po południu przychodzi tu mniej interesantów, wtedy dopiero możemy podyskutować na temat naszych usprawnień. Tu też opracowujemy w godzinach wieczornych rysunki techniczne. Chociaż kolektywy nasz nigdy się w pracy nie rozstaje, to jednak dopiero wieczorem możemy sobie uczciwie pogadać.

Tu wspólnie z towarzyszymi Fafikiem, Szmitem i Bańkowskim opracowaliśmy projekt usprawnienia, polegający na właściwym obciążeniu walców na maszynach obróbkowych, który później zgłosiliśmy w ramach zobowiązań długofalowych.

A było to tak. Siedzieliśmy już parę wieczorów nad wyliczeniami, do wzoru, ale nie nam nie przychodziło do głowy. Nie mogliśmy rozwiązać zadania. Fafik denerwował się, zdenerwowanie jego udzielało się i innym. Aż tu pewnego wieczoru odzywa się nasz najstarszy członek kolektywu tow. Szmít.

— Towarzysze, czy wy czytacie radzieckie prace fachowe z dziedziny włókiennictwa?

— No, czytamy... O ile są przetłumaczone na język polski. Ale nie mogliśmy nie znaleźć, jeśli chodzi o obciążenie walców.

— To źle szukacie. Ja szukałem i znalazłem ten temat w „Sprawozdaniu”. O proszę. — Szmít triumfował.

— Czytaj, stary, i tłumacz zaraz — zawołał trzeci przyjaciele. Szmít zaczął czytać fragment dotyczący obciążenia walców na maszynach obróbkowych. Wreszcie odczytaliśmy swoje zakończenia: — Jak widzicie: Kto szuka ten znajdzie — mówi stare przysłowie.

Tak więc książka radziecka przysłała nam z pomocą w rozwiązaniu trudnego problemu. Długowie obciążenie walców naciskowych wprowadziliśmy już na dwudziestu maszynach przedziałniczych. Usprawnienie to zmniejsza zużycie i daje lepszą jakość przedzi. Ale nie jeden to przykład pomocy książki radzieckiej w naszej pracy.

Gdyby nie Szmít, który dzięki znajomości języka rosyjskiego dopomógł nam w usprawnieniu, to kto wie, kiedy zrealizowalibyśmy nasze zobowiązanie. Pozazdrościłby Szmítowi. Postanowiliśmy także nauczyć się języka rosyjskiego. On nam pomaga w nauce. Odtąd o cztery godziny tygodniowo dłużej pozostajemy w naszym pokoju.

Kazimierz Zygmund

WACŁAW PALIK

„ZBOŻE TO NIE WSZYSTKO”...

List otwarty do Przewodniczącego RZS w Szczecinku

Wasze przemówienie na Krajowym Zjeździe Spółdzielczości Produkcyjnej było rześkie oklaskiwane. Myślę, że z trzech powodów. Przedstawiliście kilkuletni wspaniały rozwój i dorobek gospodarczy spółdzielni w Szczecinku.

Kiedy człowiek ma o czym mówić, słów mu nie zabraknie. Wam ich nie brakowało i z tej również przyczyny, że spółdzielnia współpracuje z Wyższą Szkołą Rolniczą we Wrocławiu i z Instytutem Ekonomiki Rolnej w Warszawie, jak mówiliście — „chodzi nam o naukowe normy, o nową organizację pracy... uważamy, że nasze doświadczenia (w zakresie hodowli) powinny się przyjąć w całej Polsce”. Przemawiał zatem przewodniczący, który we współpracy z uczonymi zagadnieniami spółdzielcze stawia jako „zagadnienia naukowe” a własną spółdzielnię przemienia w „szkołę doświadczalną”.

Ale był i trzeci powód do hucznych oklasków.

Wraz z rozwijającym się ruchem spółdzielczości produkcyjnej dokonują się na wsi rewolucyjne przeobrażenia kulturalne, rośnie nowy człowiek.

O tym nie mówiliście wprost. Ale wszyscy delegaci słuchając opowieści o rozwoju i sukcesach Waszej spółdzielni uzupełniali ją w myślach i uczuciach własnymi obrazami i dziełami rosnących nowych ludzi.

Macie w oborze 103 krów. Padły oklaski. Jakże miały nie paść, kiedy przed oczami wyobraźni wielkie pastwisko wypełniło się tabunem krów. Bili więc brawa zachwyceni gospodarze. Ale bili je również spółdzielcy, podziwiający ludzi, którzy wychodzą z 106 krów ze swoich wkładów członkowskich.

Obowiązywała Wasza spółdzielnia dostawa mleka w ilości 17 tys. litrów, a oddaliście dla klasy robotniczej z Czerwonego Wałbrzycha 150 tys. litrów, tzn. 6 razy ponad plan. Huczały brawa. Za ten bezmiar mleka, za tę — psiaucha — umiejętność oborowych i dojarek i za ten szczytny cel, który potrafili tak dumnie zrealizować, dla robotników Czerwonego Wałbrzycha!

Mówiliście o biednej wdowie Andrzejczak, która przed powstaniem spółdzielni szpadem ryła ziemię, aby dzieci miały co jeść a w spółdzielni została przodownica, przy 15 krowach osiągnęła od każdej 3 500 l. udoju. Huczały oklaski. Biedna wpróżdy, zalekciona, bezradna wdowa a teraz godna kobieta, po rękach całować.

Tak jakoś uzupełniali Was w myślach słuchacze i walili brawa.

Mówiliście, że hodowla przyniosła Wam pół miliona zł. Dawaliście przykłady zarobków. „Mąż i żona. Co zarobili? Niewiele, ale w miesiąc razie 26 000 zł. Czy to jest mało na rodzinie z jednym dzieckiem? Uważam, że wystarczająco”. Oklaski, mocne i długotrwałe. Podchwycano Waszą udaną skromność i Wasz dowcip.

— 26 000 zł i „wystarczająco”... A to ci dopiero! Śmiech, wesołość, zdrowa wesołość, w której ginie ostatni cień lekcy przed życiem, jakie dusiło miliony rodzin chłopskich przed laty.

Przy takich pieniądzach można żyć jak człowiek. I ta wizja — jak człowiek — zerwała oklaski.

Ktoś myślał o obrusie na stół i obrazach na ścianie, ktoś o fotelu dla starej matki i okularach aby mogła przeczytać książkę, ktoś o radu... o filmach...

Kolego Przewodniczący! Jak więc widzicie, Wasze przemówienie zostało w naszych myślach i uczuciach „dośpiewane”. Urok perspektyw, jakie dla nowego życia otwiera przykład osiągniętych gospodarczych Waszej spółdzielni w Szczecinku, był już urokiem jeśli nie wytworzonym to spotęgowanym przez nasze marzenia, nasze pragnienia i projekty.

Ale wówczas nawet my, czujni redaktorzy, nie zdawaliśmy sobie dokładnie sprawy co w naszych wzruszeniach pochodzi od Was a co od nas samych. Przypadek jednak zdarzył, że wracamy do ponownego obrachunku, do ponownej rewizji Waszego przemówienia.

*

Wysłaliśmy do Was po Zjeździe list, opatrzonego w szczegółowe pytania z prośbą o napisanie o czytelnictwie w spółdzielni w Szczecinku. Odpowiedzi nie otrzymaliśmy do dzisiejszego dnia mimo ponawianych próśb. Być może — fałszywy był adres. Przewodniczący bowiem, który wspólnie z naukowcami przemienia spółdzielnię w „szkołę doświadczalną” — dla całego kraju, to nie najlepszy korespondent w sprawach czytelnictwa. Ale macie bibliotekę, świetlicę i pewnie aktywistów w tej dziedzinie. Można tam więc było przesunąć adres naszego listu. Dlaczego to ślawię Szczecinko za produkcję, nie chcieliście do zaślusznego wawrzynu wpleść nowego wieńca z dziejów rozkwitu życia kulturalnego spółdzielni? Ułatwialiśmy Wam zadanie, sami zapraszając na łamy pisma.

Przypadek zdarzył, że w naszym tygodniku w reportażu Teofila Kowalczyka znalazła się informacja (ścisła) bardzo niepoehlebnie mówiąca o Waszej, Kolego Przewodniczący, „polityce kulturalnej”. Nie daliście świetlicy (i bibliotece) opatrzności 160 osób straciło czytelnictwo świetlicę. Wasza argumentacja sprowadzała się podobno do biurokratycznego wywodu na temat kompetencji — książki z Biblioteki Powiatowej, niechże więc powiat ogrzewa... tak czy trochę inaczej, faktem jest, że 160 czytelników „pozabawiliście książek, wspólnego czy-



tania i dyskusji. „Zamroziliście” świetlicę. A przecież przewodniczący to gospodarz pełnego życia spółdzielni, nie tylko produkcji, również jej kultury.

Czy zdajecie sobie sprawę z tych dwu nierozłącznych zadań i obowiązków? Oto pytanie, nasuwają je dookuczliwe fakty.

Do odpowiedzi wzywa Uchwała, powzięta na Pierwszym Krajowym Zjeździe Spółdzielczości Produkcyjnej. Wskazuje ona, że *tylko uszczelnienie umocnienie i przodowanie spółdzielni — zarówno pod względem gospodarczym, jak też i kulturalnym — skutecznie może przekonać indywidualnych chłopów o wyższości gospodarki zespolowej*. Nawołuje ona, aby spółdzielnie „optyczniej lepszą i większą niż dotychczas opieką i uwagą rozwój życia kulturalnego — oświatowego, świetlic, szkolenie rolnicze, rozwój czytelnictwa książek i prasy, twórczości amatorskiej i pracy LZS”.

Przesadzam? No to posłuchajcie samego siebie:

„Nie należy naszych spółdzielni ustawiać tylko w kierunku zboża, bo zboże to nie wszystko, co człowiek potrzebuje”. Trafnie, słusznie, Cóż więc człowiek jeszcze potrzebuje? „...musimy większą uwagę zwrócić na rośliny przemysłowe, nawet na taki wydawałoby się marny odcinek, jak pasiecznictwo”. Wycisnęliście z tego „marnego odcinka” 30 000 zł do udoju. Wiem. Ale nie wiem z Waszego przemówienia, czego więcej, czego poza produkcją (i dochodami) potrzebne jeszcze spółdzielni i reszpo. O tym ani słowa. Choć mówiliście i o młodzieży. „Dlatego młodzież ucieka do przemysłu? Bo nie znajduje odpowiedniego zatrudnienia w spółdzielni produkcyjnej. Trzeba dla niej zorganizować nawet małeutki działy w ogrodnictwie czy w warsztatach stoworzyć warunki, aby się uczyła na traktorzystów, pomagać, aby się rozkochoła w pracę na roli, bo jest dźw cięższa i wydatniejsza”. Oto Wasz program dla młodzieży. Waszła to przynajmniej do spółdzielni i do ziemi. Wąsko.

A przecież słuchaliście referatu Bolesława Bieruta:

„Nowa wieś spółdzielcza prócz agronomów, techników, zootechników, buchalterów, traktorzystów, mechaników, kowali, ślusarzy, specjalistów budowlanych itp. potrzebować będzie — mówił Bolesław Bierut — coraz więcej pracowników dla obsługi potrzeb kulturalnych, zdrowotnych, oświatowych, propagandowych, sportowych, dla zakładów opieki nad dzieckiem, bibliotek, szkół artystycznych itd. Stąd można czerpać te kadry, jeśli spośród młodzieży wiejskiej, którą w tym celu winniśmy już dziś planowo dobierać, szkolić, przygotowywać i zachęcać do przyszłej pracy”.

Oto fragment o młodzieży, a w tym fragmencie perspektywa na nowy etap. Wiąże ona kolego Przewodniczący, produkcję z kulturą w spółdzielniach.

W Waszym Szczecinku dalszy rozwój zadań organizacyjnych i gospodarczych, naukowe produkcji i tych tam dochodów wspaniałej bez rozwoju życia kulturalnego. Tak trzeba było — podsumowując dotychczasowe osiągnięcia — powiedzieć Wam na Zjeździe i podać konkretne projekty według jakich chcecie spółdzielnię uszczelnienie umocnić i przodować zarówno pod względem gospodarczym, jak też i kulturalnym, aby skutecznie przekonywać indywidualnych chłopów o wyższości gospodarki zespolowej, o wyższości nowego, socjalistycznego życia, kiedy spółdzielczość staje się ruchem mas chłopskich, kiedy zatem o pełny obraz całego nowego życia idzie w agitacji i doświadczeniu.

Napiszcie, do licha, jak wyrównujecie linie i pogłębiajcie w realizacji nowe zadanie?

Wacław Palik

STANISŁAW WYGODZKI

PIERWSZA PRACA

(Fragment powieści)

TEOFIL oderwał wzrok od notatek, przykniął oczy i dla skuteczniejszego zwalczania pokusy nieczęści do zerknięcia w zeszyt, położył dłoń na zapisanej kartce. Obaj koledzy, znakomici „majstrowie” z odlewni, pochylili się również nad stołem i wspólnie czytują zapiski Teofila. Przeszkadza to uczącemu się, ale jakżeby śmiało uspokoić ich, lub przywołać do porządku! Kimże jest?

Na karcie widnieje duży napis: „Materiałoznawstwo” i oto obaj „majstrowie” już recytują. Spieszno im bardzo, przekrzykują się na wyprzedki, chcą pokazać Teofilowi jacy to oni mądzy i wykształceni. Spodełka zerkają na Teofila, by stwierdzić, czy zdołali go już przekonać, że wiedza nie ma dla nich żadnych tajemnic: wszystko pojeili, posiedli. To łatwe — mówią.

— Jak dla kogo — odparł gderliwie Teofil. Cała historia zaczyna się niecierpliwie i gniewnie. Najchętniej powiedziałby im: skoro umiecie, to się zabierajcie stąd i nie przeszkadzajcie mi. Ja muszę dopiero zacząć od początku. Ja jeszcze nie nie umiem. Powiedziałby im to, ale boi się. A nuż się obrażą? Wreszcie dodaje: ja dopiero zaczynam i z ukosa spogląda na swoich wybitnych kolegów.

— O! O! A to też znamy, patrz, patrz: „Rodzaje metali”. Tak bardzo się garną do stołu, że Teofil musi się nieco odsunąć, by zrobić dla nich miejsce. Przysunęli sobie zeszyt, ani myśląc zwrócić go Teofilowi i obaj znakomici racjonalizatorzy i uczeni śpiewają na wyrywki, recytują, przekrzykują się. Żelazo, stal, metale kolorowe, ołów, cyna, miedź, cynk! Teofilowi wydaje się, że obaj jego koledzy wepchnęli go w kąt, z którego już się nie wydostanie, tam uschnie, uwiędnie niedostrzeżony przez nikogo, skazany na wieczne milczenie. Kłnie w duchu. Gdyby ich tu nie było, mógłby się w spokoju uczyć, aby z czasem osiągnąć taki stopień wiedzy, jaki oni posiadają. Ale nawet wówczas nie pomyślałby się tą swoją mądrością, jak to oni czynią. Zachowałby się jak kolega-instruktor z hali szkoleniowej, który nigdy nie traci cierpliwości, nigdy się nie gniewa i tak długo wyjaśnia rzeczy niejasne, aż uczący się pojmie wszystko i zrozumie.

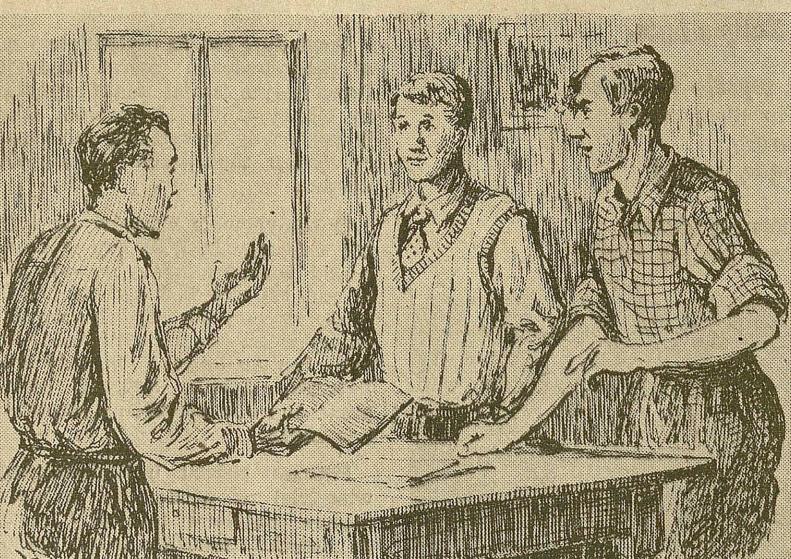
Teofil traci cierpliwość, zbiera się w sobie i wreszcie sięga odważnie po zeszyt. Przysunął go bliżej i odwrócił następną kartkę. I oto stało się coś nieoczekiwanego. Jego współkolegowie odczytali nagłówek: „Twardość metali” i zamilkli. Milczą, nie mówią, nie krzyczą, nie zagłaszają go hałaśliwym wygłaszaniem formułami, unikają nawet spojrzenia Teofila. Teofil spojrzał na nich, lecz nie pojmuje naglej zmiany ich postępowania. Teraz, jakajak się, coś tam bełkocą. Twardość metali? Twardość metali? Co to u licha znów za twardość metali? Wiadomo, że metale są twarde, kłóży tego nie wiedział? Teofil odczekał z ulgą i zaczyna im z lekka podpowiadać, ale w gruncie rzeczy to nie żadne podpowiadanie, bo jakżeby śmiał? Przecież nie wypada, aby on, dopiero co przybyły ze wsi podpowiadał tak znakomitym majstrom. Jakżeby śmiał podpowiadać starym wygom fabrycznym, którzy bóg jeden wie, co produ-

kuja w tym wielkim zakładzie, słynnym na cały kraj! Teofil bąka więc pod nosem coraz ciszej formuły o twardości żelaza, o współczynnikach twardości, w gruncie rzeczy dla siebie, ale nagle urywa w obawie, by nie urazić wielkich i znakomitych mistrzów i fachowców z którymi wypadło zamieszkać temu nie uczonemu chłopinie ze wsi. Zerkną na nich ukradkiem, pragnąc odgadnąć co koledzy myślą, o tym wszystkim.

Ale tamci milczą uparcie, więc Teofil rozpoczyna naukę od nowa. I oto zjawia się inny rozdział w notatkach Teofila: „Zastosowanie metali”. Koledzy ożyliłi się nagle. Złowią głośno, prześcigają się, toczy się żywy strumień słów, okre-

kuja w tym wielkim zakładzie, słynnym na cały kraj! Teofil bąka więc pod nosem coraz ciszej formuły o twardości żelaza, o współczynnikach twardości, w gruncie rzeczy dla siebie, ale nagle urywa w obawie, by nie urazić wielkich i znakomitych mistrzów i fachowców z którymi wypadło zamieszkać temu nie uczonemu chłopinie ze wsi. Zerkną na nich ukradkiem, pragnąc odgadnąć co koledzy myślą, o tym wszystkim.

Ale tamci milczą uparcie, więc Teofil rozpoczyna naukę od nowa. I oto zjawia się inny rozdział w notatkach Teofila: „Zastosowanie metali”. Koledzy ożyliłi się nagle. Złowią głośno, prześcigają się, toczy się żywy strumień słów, okre-



Rys. Stefan Szmidt

śleń, formuł, toczy się i wzbiera i zdaje się zalewać Teofila, topić go, zakrywać. Ożyliłi się jak ryba, którą litościwa dłoń cisnęła znów na środek rzeki. I używają sobie, ech, używają sobie: śpiewają, recytują na wyprzedki, na wyrywki. Wesołe życie! Najwesołeś wóczas, gdy kolega zmuszony do milczenia nie potrafi ukryć swego zdumienia dla ich olbrzymiej wiedzy, wykształcenia, kwalifikacji. Bez tchu wykrzykuje co też oni, stare wygi przemysłowej wiedzy z zastosowaniem metali w hutnictwie, w przemyśle maszynowym, w komunikacji. Obu przyjaciółom wydaje się, że wiedzą swoją zatłamsili już Teofila, że raz na zawsze usunęli go, jako konkurenta, z widowni świata i dzieł „Ursusa”, ale oto odwraca się karta dzieł i następują obecnie notatki znów pograżają obu przyjaciół w zapomnienie równie historyczne, jak historyczne było ich nad Teofilem zwycięstwo. Nowy rozdział! „Zabezpieczenie metali przed korozją”. I oto „majstrowie”, „mistrzowie”, „racjonalizatorzy”, dowódcy brygad, stawiający dyrektyjny plan warunków, grożący zawaleniem planu „Ursusa”, milkną.

Milczenie nie trwa jednak długo. Trzeba je zakłócić i to natychmiast, szybko, gdyż w gruncie rzeczy obie strony wiedzą skąd ono się wzięło. Nadrabiają więc miną, byle się odkuć, byle wybrnąć, wydostać na wierzch, bodaj na wysokość cala ponad wysokość przeciwnika. Obaj przyjaciele zaczynają więc z innej beczki. Rozmowa zeszała na zarobki

Teofil zastanawia się przez chwilę i wreszcie pyta niesmiało.

— Znamy to, że robota u was łatwiejsza.

— Iiii, łatwiejsza. Taka trudna, że tego nawet na hali szkoleniowej nie wykładają, no? Wykładają u was jak się ładuje do form, czy nie?

Z napięciem oczekują odpowiedzi Teofila, ich wzrok zawisnął u jego ust.

— Rzeczywiście, nie widziałem, żeby w hali szkoleniowej ubijano piach w formach. Teofilowi serce zabiło żywiej. Jak dotąd Koleba, kierownik hali, nie o odlewni nie mówił, widocznie jego współkolegatorzy mają słuszny tytuł do dumy.

— Mówicie, że zarobku nie będzie miał?

— Ano, zobaczysz, przekonasz się.

Ale się wkopał — myśli Teofil — ale nie wpadł. I od razu znajduje jeszcze jeden dowód, upewniający go, że obaj jego koledzy mają rację: obojętność dziewczyn w hali szkoleniowej. Gdyby robota była trudna i skomplikowana nie było by tam dziewczyn, a skoro są...

— To może pójść do was? — pyta z drżeniem w głosie Teofil.

Obaj współkolegatorzy zastanawiają się, namyślają, decydują wymagać rozmowy, namysłu. Wreszcie starszy z nich powiada:

— Z nami, brachu, mógłbyś pójść, nawet od jutra, my ci wszystko załatwimy, samodzielni formierze

wszystko mogą załatwić i zrobić się. Po co ci te wszystkie korbowody i h o r o z j e.

— Korozje — poprawia bezwiednie Teofil obu samodzielnych formierzy i nagle znów go odchodzi ochota od pracy na odlewni, u boku obu „majstrów”.

Rano, przed wyjściem do hali szkoleniowej Teofil wstąpił do kancelarii. Szafranek krzątał się po biurze, pogwizdywał wesoło. „Szejwek” zbijał jakąś skrzynkę. Ujrzawszy Teofila wciągnął głowę w ramiona.

— Co powiecie? — Szafranek zwrócił się do Teofila, który stał przy drzwiach. — Jak wam idzie?

— Myślę, że dobrze. Teofil przestąpił z nogi na nogę.

— A teraz co powiecie? — zapytał Szafranek.

Teofil zwlekał chwilę, Szafranek czekał cierpliwie. Już chciał powiedzieć „Szejwekowi”, aby go zostawił z Teofilem, gdy ten rzekł:

— Widzicie kolego, mnie namawiają, żebym na odlewni poszedł. Ku zdumieniu Teofila Szafranek przyjął tę wiadomość z zupełnym spokojem. Nie krzyknął, nie zdziwił się. Wzruszył lekko ramieniem.

— A idźcie, czemu nie? Na odlewni też ludzie pracują, bo odlewnia potrzebna, bez niej ani rusz. To składowa część naszych zakładów, a idźcie. To zaszczyt pracować w naszych zakładach, obojętne na którym oddziale. A wy jako co chcecie pójść na odlewnię?

— Na formierza?

— Na formierza? Teraz Szafranek nie ukrywał swego zdziwienia. Podziałło ono również na „Szejweka”. Odiósł młotek i przypatrywał się uważnie Teofilowi. Chłopiec poczuł się nieswojo i pomyślał w pospiechu: oho, pewnie znów palnął jakiś głupek, znów się ktoś nabił ze mnie. Szafranek powtórzył pytanie.

— A, tak, na formierza — odparł Teofil.

— Ale przecież wy nic jeszcze nie umiecie.

— Teofil zawałnął się.

— A mnie majstrowie mówili, że wystarczą piach ładować do form i ubijać.

Szafranek i „Szejwek” wybuchnęli głośnym śmiechem.

— I to ty nazywasz być formierzem? Kto cię to tak poinformował? Majstrowie?

— To ci kamraci z „siódemki” — wturcił „Szejwek” — nie? Na pewno oni.

— Aha! To takie buty! No, to ja już wiem, po co cię ciągną ci „formierze”.

Szafranek śmiał się. Gdzie tam oni majstrami? Tyś im potrzebny w tej ich brygadzie, żebyś ty robił za nich, a oni, żeby się mogli objąć, żebyś przez nich był poganiany. Jacy oni tam majstrowie? Pójdźcie do nich, to oni będą mieli więcej czasu na papierosy, dyle.

— Ale zarobki — rzekł Teofil.

— Co tam, bracie, zarobki. Ty sprawdził ile oni zarobili w pierwszym miesiącu, kiedy tu przyszli, idź zobacz. Mniej zarobili od ciebie, jestem tego pewien, mniej, na pewno mniej, a ty po miesiącu będziesz miał tyle co oni, albo i więcej. Więc, mówię ci, bo ty się uczysz, a oni nie chcieli, rozumiesz?

Stanisław Wygodzki



W Azerbejdżanie

TADEUSZ ORLEWICZ

„MOCARSTWO CZYTAJĄCYCH”

PRZED mym wzrokiem rozciąga się wspaniały obraz ziemi, pieczołowicie oszlifowanej pracą wolnych ludzi, gigantyczny smaragd. Wszędzie ludzie są wykształceni, każdy ma poczucie osobistej odpowiedzialności za wszystko, co czyni on sam i co się dzieje wokół niego. Wszędzie miasta — ogrody, skupiska wspaniałych gmachów, wszędzie pracują dla człowieka ujarzmione i zorganizowane jego intelektem siły przyrody, a on sam nareszcie jest istotnym władcą żywiołów.

W zaraniu rewolucji tymi słowy ujął Maksym Gorki przyszłość swego kraju. Jakże niewiele lat trzeba było ludziom radzieckim, aby wizja ta przekształciła się w rzeczywistość, w potęgę budownictwa przemysłowego w kanale wołgo — dońskim. W gigantyczny Stalinowski plan przeobrażenia przyrody, w piękno Moskwy i nowych, jasných, socjalistycznych miast, w „wielkie mocarstwo czytających”, jak mówi jeden z radzieckich powieściopisarzy.

W roku 1952 liczba kształcących się w ZSRR osiągała przekraczała 57 milionów osób — niemal trzecia część ludności ogromnego kraju. Jest już blisko 900 wyższych uczelni we wszystkich republikach radzieckich. W nich — półtora miliona studentów.

Gęsta sieć szkół pokrywa cały kraj, od mroźnych tundr północny po gaje palmowe gorącego południa, od poleskich nieprzebranych niegdyś błot po cypel Dzierżawina. Rosną w dziesiątki tysięcy kluby robotnicze, domy kultury, świetlice, biblioteki. Dziesiątkami tysięcy punktów dotarły do najdalszych zakątków kraju brygady szturmowe wielkiej „proletariackiej rewolucji kulturalnej”.

Samozagadnienie analfabetyzmu, to była sprawa 100 milionów ludzi i wielokroć szczytów rozwoju społecznego, sprawa, której ogrom przekraczał, wydawało się, możliwości nie tylko jednego pokolenia, ale setki lat. We Francji jeszcze dziś w pięćdziesiąt lat po wprowadzeniu obowiązku początkowego nauczania, oficjalna, znacznie niższa od faktycznej, ilość analfabetów przekracza półtora miliona ludzi.

W Wielkiej Brytanii, według niedawnej relacji tygodnika „Picture Post”, są 3 miliony półanalfabetów. Dla tych wszystkich ludzi zamknięty jest całkowicie świat słowa pisanego. W Stanach Zjednoczonych analfabetyzm pierwotny i wtórny obejmują wiele milionów ludzi. Bo „sens rozwoju kultury — mówi Gorki — nigdy nie był rozumiany przez burżuasję jako konieczność rozwoju całej ludzkości”. A w Kraju Rad powszechne nauczanie początkowe, czyli decydujący krok na polu rewolucji kulturalnej stał się rzeczywistością już w latach przedwojennych.

Kiedy świat kapitału przytakiwał goebelsowskiemu hasłu: „ile razy słyszę słowa: kultura, obojętnie, czy rewolwer”, kiedy na normyberbskich placach palono dzieła wielkich twórców ludzkiej kultury, w Kraju Rad roczny nakład książek przekraczał nakład stuletni wydawnictw w Rosji carskiej, sieć bibliotek miała 70 tysięcy punktów w 130 milionach tomów, dziesiątki narodów otrzymały własny alfabet i rozwinięły własne piśmiennictwo. „W ciągu trzydziestu lat nowego wieku — przypominał Ilya Erenburg — kapitalizm nie stworzył niczego. Żył od „czarnych piatków” do „czarnych śród”, od popiołów Verdun do ruin Europy”. W Kraju Stalina człowiek radziecki dogonił i przegonił świat kapitału. Bije produkując kraje wskaźnikami wzrostu produkcji. Ukazuje światu niezawodny wzór i przykład. Ukształtował i rozwija kulturę wyzwolonego człowieka, który w oparciu o wspaniałą technikę staje się, według przewidywań Ciolkowskiego, panem oceanu i powietrza, ziemi i sił natury, a przede wszystkim panem samego siebie.

„Dawniej cały umysł ludzki, cały jego geniusz — uczył Lenin — tworzył tylko po to, aby jednym dać wszystkie dobrodzieje techniki i kultury, a innym pozbawić tego co najkonieczniejsze — oświaty i rozwoju. Teraz zaś wszystkie cuda techniki, wszystkie osiągnięcia kultury staną się własnością ogółu narodowego i oddą nigdy umysł i geniusz ludzki nie zostanie obrócony

w środek gwałtu, w środek wyzysku”.

W Tadżykistanie przed Rewolucją było zaledwie 10 szkół początkowych. I wszystkie były szkołami religijnymi. Ogólna w nich ilość uczniów — 370. To dzieci carskich urzędników, mułłów i obszarników. A dziś — 3000 szkół podstawowych oraz 40 wyższych i średnich specjalnych zakładów naukowych. W tej „zacofanej” republice azjatyckiej na 10 tysięcy mieszkańców przypada 58 osób studiujących na wyższych uczelniach. A to oznacza już dwa razy więcej niż we Francji, trzy razy więcej niż w Szwecji.

W Uzbekistanie było w roku 1914 aż 98 proc. analfabetów. Dziś analfabetyzm przestał być problemem; wspaniałym blaskiem świeci piękna, ludowa literatura uzbecka, rosną kadry uczonych uzbeckich, jest w tym kraju teraz więcej zakładów naukowych niż np. w Danii.

W Gruzji była jedna tylko wyższa uczelnia i w niej najwyżej 300 studentów. Teraz — 20 wyższych uczelni, a same kadry profesorskie liczyły w roku 1952 2.800 uczonych. Narod maryński, narod Jakutów, ludy Czukczów, Nanajców nie miały, ani jednej szkoły ogólnokształcącej, ani jednego podręcznika w języku ojczystym. Teraz ilość szkół w tych rejonach idzie w tysiące. Teraz nie tylko po czcniaki szkolne w masowych nakładach uczą młodzież w jej ojczystym języku, ale rozwinięła się narodowa prasa codzienna i periodyczna, literatura piękna i naukowa.

48 narodów i narodowości, dawniej nie mających własnego nawet alfabetu, dziś wnoszą swój wielki wkład do wspólnej skarbnicy wielkiej kultury radzieckiej, narodowej w formie, socjalistycznej w treści, Ludy i plemiona dalekiej północy, stojące dotąd znacznie niżej od ludów południowej i środkowej Azji, mają nie tylko swoje piśmiennictwo, ale wybitnych poetów, artystów, uczonych. Narody południa, którym obcy był wielkomaszynowy system produkcji, dziś produkują w walce o wysokie wytopy, o wysokie plany, wydobywają, mają sprawną armię uczonych, mechaników i autematyzacji procesów produkcji.

Oto jedna ze wsi kazachstańskich, Litwinskaje. Przed niedawnym laty było tam zaledwie parę osób o których mówili się: „wykształcone”, bo miały ukończone dwie klasy szkoły początkowej. Obecnie tej samej wsi w szkole kolchozowej uczy się 600 dzieci, a 200 starszej młodzieży na uniwersytetach i w różnych instytucjach ZSRR. Dawniej wieś zabita na głucho deskami od świata. Teraz, w latach władzy radzieckiej, wyszło z niej 500 lekarzy, zootechników, agronomów, nau-
czyli.

Inna wieś — tym razem w dalekim Kraju chabarowskim — wieś Nanajców. Codzienna poczta Niżnych Chaib to 200 egzemplarzy gazet, wiele czasopism i listów. Jest tu jedenaście szkół i biblioteka, a w niej 20.000 tomów. „Przebieg wypadka, — mówi miejscowa bibliotekarka — że każdy mieszkaniec wsi powyżej lat 10 czyta 5 książek rocznie”. Moldawia jest jedną z najmłodszych republik Kraju Rad. Ale i tu już przeszłość niedawna, ciemna i ponura, odeszła na zawsze. Oto kolchoz w Żanowa. Jego „uzbrojenie” kulturalne w roku 1952 jest następujące: 58 nauczycieli, agronomów, zootechników, pracowników służby zdrowia, pięć szkół, w tym jedna średnia, kursy mechanicznej, trzyletnie kursy agrotechniczne, dom kultury, dwie biblioteki.

Takich wsi kolchozowych, jak Litwinskaje w pustynnym niegdyś Kazachstanie, jak Niżne Chaiby w dalekowschodniej polaci Kraju, jak Pielenia w polskiej ziemi młodszej, jest w Kraju Rad tysiące.

I oto na bazie socjalistycznego uprzemysłowania i nowoczesnego rolnictwa, na bazie produkującej nauki, narody radzieckie podjęły walkę o powszechność nauczania średniego. To już nie problem likwidacji analfabetyzmu, dawającego wczorajszą Rosję i dzisiejsze kraje kapitalizmu. To już nawet nie zagadnienie powszechności początkowego nauczania, którego nie może zrealizować przez dziesiątki lat świat kapitału. To rewolucyjny niezmąty w (Dokończenie na str. 7)

MARIA KOSINIAKOWA

„Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju”

Ośrodek zalipiański, o którym pisze do redakcji Maria Kosiniakowa, został „odkryty” dopiero w 1948 r. Muzeum krakowskie wystawiło do Złapia swojego przedstawiciela, który zbierał malowanki kobiet zalipiańskich, obejrzał malowane chęty i po upływie kilku miesięcy w Zalipiu został ogłoszony konkurs na najpiękniejszą odtworzoną izbę, zorganizowany przez Ministerstwo Kultury i Sztuki i ZSCh. Dla Złapia dzień konkursu stał się dniem przełomu. Opowiadała o nim Kosiniakowa na Zjeździe Twórców Ludowych: „Przyjechało do naszego, deskami zabitego Złapia auto, przywiozło dużo ludzi wysoko kształconych z Krakowa, z Warszawy, z powiatu, aby wszyscy mogli zobaczyć i ocenić nasze prace. Chodzili po domach i oceniali. Ja za swoją izbę, jak również Curylowa dostaliśmy pierwszą nagrodę. Rozpakowaliśmy się wtedy z radością, ze wznieśmieniem pieniędzy, ale rozumaliśmy, że nasz Rząd Polskiej Ludowej tak się o nas zainteresował i za tyle lat naszej pracy wynagrodził nas i dotychczas o nas pamięta”.

Felicja Curylo, która w chwili obecnej jest kierowniczką zespołu malarskiego w Zalipiu, utworzonego przez Ministerstwo Kultury i Sztuki została wtedy odznaczona Srebrnym Krzyżem Zasługi za swoją cenną pracę, wyrażającą z artystycznych zamiarów całej okolicy.

BARDZO się zastanawiam, jak to wszystko opisać, żeby się nie wygubić, ale jak umię, tak piszę. Maluję już lat 40 a dzieła moje, których mam troje, idą za moim przykładem. Córka Leokadia, wynagradzana za swą zdolność, kształci się na Akademii Sztuk Plastycznych, syn w Liceum Sztuk Plastycznych w Krakowie, robi teraz dużą maturę i pragnie dalej uczyć się na architekturze. Najmłodsza Stefcia liczy 12 lat, chodzi do 6 klasy szkoły, ucylna śliczne wycinanki, nalepka z fasolki proso, różno-
zbarwna. Również chciałybyśmy aby poszła do wyższej szkoły, ale

u nas nawet nie ma jeszcze pełnej 7-oddziałowej szkoły, trzeba chodzić do drugiej wioski. Świetlice też nie ma, wszystkie zebrania odbywają się w szkole.

Ministerstwo Kultury i Sztuki utworzyło u nas zespół chałupniczy. Kierowniczką jest Curylowa. Lepszych malarek mamy sześć, z 25 gorszych, są starsze kobiety i dzieci. 25 kwietnia jako czym pierwszomajowy chciałyśmy z Curylową, żeby każda coś namalowała na 1 Maja. My we trójkę wymalowałyśmy dla Ministerstwa Kultury i Sztuki, dla Powiatowego Domu Kultury, dla gminy i dla naszej szkoły. A inne nie. Mają rację, bo ani w naszym miasteczku powiatowym, ani w gminnej spółdzielni, ani w gromadzkiej nie ma żadnych farb ani kartonu, nawet lepszego pakowego papieru, nie miały więc na czym wymalować. Mnie przyszły dzieci ale one nie zawsze mają czas na takie rzeczy, a tymczasem już potrzebne, a zanim kto przysię, zjeździe 3-4 dni... Inaczej nie mogę wytłumaczyć, myślę, że jakby w powiecie było to i w naszych spółdzielniach też.

Wszystkie malarki pracują na roli i każda maluje u siebie w domu, o żadnym zapotrzebowaniu teraz nie wiemy, więc o ile ktoś nie przyjeździe z „góry” i nie wytłumaczy, to sztuka ludowa u nas zamieni się w szablony. Bo Curylowa była na kursie w Warszawie z Kiwiorką, umiały malować chęty ale nam żadna nie wytłumaczyła, w jaki sposób się utrwała, były teraz 3 tygodnie w Włocławku, robiły wozory na ceramikę ale też nam nie powieściły. Córka moja w Akademii już też maluje na płótnie, pisała, że teraz mnie nauczy jak przyjeździe na wakacje a ja sama maluję jak umię, jak się spierze, maluję drugi raz, tak to utrwalam. A są chyba sposoby na utrwalenie. W tej chwili maluję dom wewnątrz i zewnątrz

bo chcę, żeby sztuka ludowa rosła coraz nowsza, a ludzie przyjeżdżają do nas nawet z obcych krajów robić zdjęcia filmowe. I dla siebie żeby było ładnie, też trzeba 2-3 razy do roku malować zewnątrz, bo deszcz zmyje wszystko. Teraz chcę wiedzieć, gdzie są świetlice najbliższe? Na Podlipiu i gminna w Bolesławiu, zeszłego roku jak dzieci były na wakacje w domu wzięłam oboje i udekorowałam świetlicę przed otwarcie, to znaczy, ja wzięłam swoje farby, mleko do farby i dwa dni 7 km od domu malowałam desę, drobne futuszkę górą, córka rozrabiała farby, syn robił litermięto i jest teraz śliczne. Obecnie mają świetlicę, która planuje porządku. W szkole też są malowanki w Bolesławiu, w Podlipiu no i zależy kto lubi sztukę ludową. Chętnie byśmy pomalowały gdzieś świetlicę, wzięłabym więcej malarek do siebie, ale trzeba konieczne jakiego funduszu, bo ja zrobiłam to ze swojej chęci, ale z tą pracą społeczną, choćby za farby zwrócić, bo tak mówił prezes z Domu Kultury z powiatu, Malowałam na Dzień Kobiet do Czechosłowacji, posłałam do Nowej Huty na wystawie, byłymy z koleżankami Curylową, Kiwiorową i Wojtyłową na „Batorym” i tam malowałyśmy, a więcej już się nie chcę chwalić.

Zrozumiałam, że gdyby nie Ministerstwo Kultury i Sztuki to by się nami teraz nikt nie zajął, bo do Krakowa do Centrali Przemysłu Ludowego i Artystycznego narobiłyśmy dużo wzorów na chęty, były uznane przez komisję, a nam ani za papier nie zwrócili, a co malowanek, wycinanek, ale wszystko chcę za frajer, że się tak wyrażę. Teraz świetlice i Dom Kultury od nas wymagają pracy, a nie pomagają i co gorzej, kiedy było otwarcie elektryczności to zwołali z powiatu i gminy malarki i kazali chodzić za limitem. Do tego my jesteśmy?

z KRÓTKI bledów i zaniedbań Wyprowadźmy Amiołki i zobowiązania

EDWARD POCHRON

Wyrównać długi!

(List do rodzinnej wsi)

Droga Kierowniczko Biblioteki Gminnej Koleżanko Swierad! Towarzysze z Gminnego Zarządu ZMP i ZSCH! Obywatelo Radni!

Wybaczenie, jeżeli czasem nie we wszystkim słusznie ocenię pracę któregoś z Was. Macie towarzysze w swojej pracy kulturalno oświatowej trudności i niedociągnięcia i, to trzeba powiedzieć, dość poważne. Prawda, że warunków pracy nie macie tu lekkich. Radłów — półmiasto, półwieś jest najbardziej na Wschód wysunięta gmina powiatu brzeskiego, rozległego jak śp. cesarstwo austriackie. Z Radłowa do Brzeska trzeba przejechać 18 km piaszczystej miejscami drogi, a do Tarnowa 16. Najbliższa stacja kolejowa — 10 km, autobus PKS kursuje raz dziennie, rano do Tarnowa, wieczorem z powrotem. Tak samo

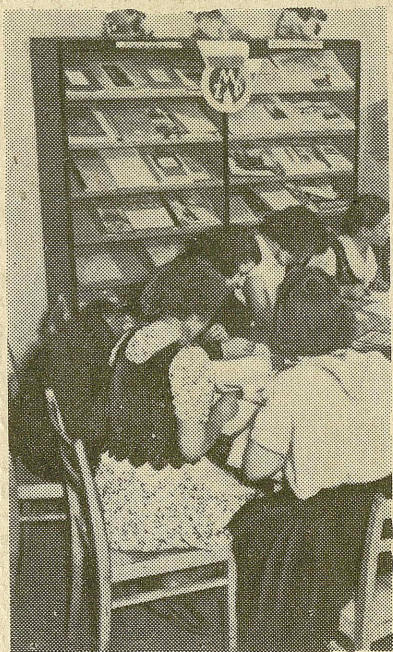


Foto — CAF

rozległa jest i gmina radłowska. Do najbliższej gromady będzie to 12 km. Do tego trzeba wziąć pod uwagę kiepskie drogi.

Z tych powodów utrudniona jest łączność czy to z powiatem, czy z gromadami, a to oczywiście odbija się na Waszej pracy.

Prawda też, że zią tu macie spuściznę historyczną. W gminie radłowskiej bardzo silne oparcie miał kiedyś Witos, a później Mikolajczyk. Aż do początku 1949 r. trzymała się tu jeszcze banda osławionego Jachimka: rabowała i terrorizowała, mordowała i szantażowała PPR-owców i radykalnych ludowców. Każdy po cichu obawiał się losu zamordowanego Wiktora Lecha, torturowanych: Franciszka Kity i Franciszka Łazarza. Zanim ludzie zrzucili z siebie ten ciężki strach i niepokój, przeszło sporo czasu, a życie szło naprzód.

Ale dlatego też większe ciężar teraz na Was zadane, towarzysze, aby nadrobić te opóźnienia.

Przyjrzyjcie się wnikliwie choćby Waszej pracy nad czytelnictwem książek.

Chlubicie się, Koleżanko Swierad, cyfrą 288 czytelników biblioteki gminnej. To niemało, prawda. Ale czyście zastanawiali się nad tym, ilu z tego naprawdę czytają? Czyba niespełna połowa. A do tego książki wypożycza przeważnie młodzież. W poszczególnych wsiach można na palcach obu rąk policzyć starszych ludzi, którzy osobliście zgłaszają się po książki. Mało było nie młodzieży, która się pyta, co wybrać dla ojca i matki. Tak jest w Radłowie — większa część korzystających z Gminnej Biblioteki — to młodzież miejscowego liceum, w Zabawie liczba starszych czytelników wynosi 8. Znaczący to, że starsi mają jakieś opory, a biblioteki dotychczas nie próbują tych oporów przełamać i usunąć. Dlaczego np. w Radłowie zarzucono rozpoczęcia kiedyś piękna akcja rozpowszechnienia opieki nad byłymi analfabetami? Akcja ta wydała się częściowo owocna, bo jak mi sama, Koleżanko Swieradowa, opowiadałaś, kilku z nich jest gorliwymi czytelnikami Gminnej Biblioteki. Nie wykluczone, czy nie byłoby wszystkich, gdyby dalej prowadzono tę akcję?

Cóż wiele mówić, przecież nie byłoby Koleżanki Swieradowej, ani razu — od końca 1952 r. do dnia dzisiejszego — na kontroli w punktach gromadzkich. Zresztą nie tylko Wy, ale i Komisja Oświatowa GRN. Tłumaczycie się brakiem czasu, zima, odległością gromad, ale przecież przy dobrych chęciach można było pojechać chociażby do najbliższych punktów. Przecież okres zimowy, to okres „żniw” w czytelnictwie wiejskim. Ja Was rozumiem, Kol. Swieradowa, że macie rodzinę, że i tak dużo wysiłku wkładacie w Gminną Bibliotekę, ale bez łączności bezpośredniej z terenem nie osiągnięcie pełnych sukcesów. Zresztą od przodującej w powiecie biblioteczki wymaga się dużo.

Edward Pochron

BRONISŁAW CHĘCIŃSKI

Stalin w wiejskiej świetlicy

*Łagodny promień z portretu śle przed siebie
uśmiech mądrością ciepły i znajomy;
spojrzenie Stalina gwiazdą na niebie,
świeci chłopskim sercem jak gleba spulchnionym.
Świeć im, o świecie, zwycięskiej Wodzu myśli,
by w poprzek miedź ze wspólną troską wyszli.*

*Nie będzie lekko oczyścić grunt nasz z chwastów,
za oknem pole szramą miedź pocięte,
siły wsteczności łatwym snem nie zasną,
lecz twarde stali historia wpisze w księgę.
On to na Kremlu kołchożników wita!
Jego o ścieżki dziś chłop z Zalipia pyta.*

*Na środek izby dwunastu wyszło śmiałych,
niejeden z nich uczył się wczoraj pisać,
oblicza skwar i wiatry porały,
ci słońca wschód ustalać będą dzisiaj.*

*On żyje w sercach jak w gorącej pieśni,
gdy twarda ręka niezgrabny podpis kreśli.*



Foto — CAF

JAN ROBAK

Nie zamykać się w kółeczku

Jeden z działaczy na szczeblu wojewódzkim (woj. kielecki) wskazał mi wieś Wsoli. Rozpamiętałem bowiem o gromadzie przodującej w rozwoju życia kulturalnego.

— Wziew na przykład... Wsoli. Gmina obejmuje 11 gromad, jest elektryczność, radiowęzeł, szkoły, biblioteka gminna i w gromadach 5 punktów bibliotecznych, sklep, w którym oprócz białki i wódki znaleźć również można książki. Ludowy Zespół Sportowy i świetlica — pierwsza w województwie. A komunikacja za pośrednictwem regularnie kursujących autobusów PKS.

W doskonałym tedy nastroju pojechałem do Wsoli i pierwszą wizytę złożyłem sekretarzowi Prezydium GRN, Stanisławowi Stępnowskiemu, aby wywieść się o realizację planów gospodarczych przez gminę, bo kombinowałem: jeżeli kultura nie zwykła, to i uświadomienie ludności wysokie. Zatem dobrze musi stać sprawa obowiązkowych dostaw.

Sekretarz rozpoczął od stwierdzenia, że ziemia jest licha — pacy. Średnia wydajność z hektara 10—12 q żyta. Mieszkańcy gminy przeważnie małorolni. A z dostawami? Różnie. W zbożu i żywie jesteśmy na 10 miejsc-u w powiecie (w domostkach, który liczy 23 gminy) w podatkach na 20 miejsc-u — w tej chwili tow. Stępnie chętnie — w mleku na 23 miejsc-u.

W gminie Wsoli nie ma spółdzielni produkcyjnej, nie ma też ani jednego komitetu założycielskiego.

Do pokoju wszedł Stanisław Stępnie, kierowniczka świetlicy. Powiedziała: — Ale zajęliśmy pierwsze miejsce we współzawodnictwie wojewódzkim. Mamy zespół chórny (20 osób), taneczny (pięknym kostiumy), dobrego czytania (Prus i Szołchoch w omawianiu) i teatralny, który wystawił Galaję „W rodzinie Lebiódów”, a ostatnio „Grube ryby Bałuckiego. Sala teatralna w świetlicy. Scena i kurtyna na razie prozoryzowane, ale to początki, potem będzie lepiej. Był u nas Jerzy Putrament z wieczorem autorskim, a potem Wanda Melcer. Putrament obdarował „Wrześniem” i „Rzeczywistością” przodujących świetliczan — Helenę Mordkę, Stefana Mordkę i Edmunda Nowaka. To samo uczyniła Wanda Melcer ze swoją książką o piechurze i Ameryce.

W świetlicy jest wzorowy porządek — czystość. Ściany udekorowane gazetkami: ściennymi — jedna z nich to „Sportowiec”. Obok wisi ładnie tuszem wykonana tablica gminnych rekordów. Na środku sali znajduje się stół pingpongowy. Owocnie zabiega się działalność świetlicy z pracą LZS. Czołowi sportowcy zespołu są aktywnymi świetliczanami. Nazwisko kolegi Okrutnego wykalkulowane na tablicy rekordów w rubryce „Mistrz szachów”, Durak Stefan — mistrzem w ping-pongu, Helena Mordka (ta, która dostala książkę od Putramenta) — mistrzynią w lekkoatletyce. Ci sami w szachach Galaję i Bałuckiego, tańczą w zespole baletowym, śpiewają w chórze...

Obok świetlicy kierownik biblioteki

JAN BOLESŁAW OŻÓG

Czytelnictwo, ale co dalej?

NIESZKOWICE Wielkie nie są wioską dużą. Położone o 7 km na południowy zachód od Bochni w niewielkiej odległości od słynnego z wypadków z r. 1932 Łapanowa rozłożyły się malowniczo na pagórkach. U wejścia do wsi — dość okazały budynek szkoły. Tu mieści się świetlica ZSCH, tu mieszka kierownik szkoły i zarazem świetlicy, aktywista społeczny Stanisław Sasak.

Dowiaduję się, że czytelnictwo ma w Nieszkowicach stare tradycje. Przed wojną istniał punkt wymiany biblioteki TSL. Kierownik szkoły już wtedy wykształcił sobie spory zastęp zapalonych miłośników książki.

O sentymencie chłopów do książki świadczy fakt, że gdy w czasie wojny władze okupacyjne zarządziły oddanie bibliotek szkolnych i innych, zgłosiło się do kierownika szkoły kilku gospodarzy (Jan Jelonek, Jan Laskowski, Walenty Piekarczyk, Jakub Słupek, którzy przechowywali książki na strychach i w zbożu.

Podczas pożaru u Laskowskiego właściciel na wiadomość o nieszczeniu najpierw ratował książki na strychu, wskutek czego spaliła mu się krowa.

Po wojnie — mówi dalej kierownik — wszystkie książki chłopcy zwrócili. Oddałem je do punktu bibliotecznego, który został utworzony już w r. 1947, przyczyniając się do ruszenia czytelnictwa na wsi w nowych warunkach.

Początkowo obsługiwał ten punkt mieszkańców trzech gromad (Nieszkowice Wielkie, Nieprzeźnia, Zawada), dopóki każda z nich w r. 1948 nie otrzymała własnej biblioteki. Pierwszy komplet wypożyczono z biblioteki powiatowej, która w tym czasie została zorganizowana przez Bielawską. Ostatecznie świetlica została zarejestrowana w r. 1951. Wypożycza się obecnie kilka razy na rok komplety książek od 50 do 200 tomów z biblioteki gminnej w Wiśniczu Nowym.

Nie wypisywałem liczb, które dają pojęcie o ilości czytelników, może jednak interesujące będzie podać nazwiska najwięcej wypożyczających. Są to: Walenty Babraj, Antonina Durak, Jan Jelonek, Walenty Koza, Franciszek Łyszczarz i Maria Pazdan.

Rozmawiałem z ojcem Marii Pazdan. Nie mógł się nachwalić książek. Córka — objaśniał — dużo wypożycza i w niedzielę czyta na głos w domu, wszyscy słuchamy.

Głośne czytanie książek stosowane jest nie tylko u Pazdanów, ba, wszędzie. Zapoczątkowane na wieczorach w świetlicy, jest stałe praktykowane po domach. Stosowane jest od wielu lat w rodzinie Jakuba Słupka, tego samego Słupka, który w czasie okupacji ratował zagrożone przez hitlerowców książki w szkole.

Co dało pilne czytanie książek w rodzinie Słupków? Stary Słupek został plantatorem i znawcą w uprawie buraków cukrowych oraz przodownikiem w dostawie żywności i zboża, jeden z synów, Kazimierz, jest przodownikiem i racjonalizatorem w Nowej Hucie, a córka aktywistką jako przewodnicząca Koła Kobiet.

Podobnie jak u Słupka przez czytanie książek podniosła się świadomość społeczna także w domu Kartarzyn Sliwy. Jedną córkę jej pracuje w spółdzielni MHD w Krakowie, syn zaś Władysław ujął się do Nowej Huty i tam wyróżnia się jako przodownik pracy i aktywista młodzieżowy.

Do upowszechniania czytelnictwa — mówi Sasak — przyczyniają się konkursy czytelnictwa, zorganizowane przez ZSCH. W II konkursie czytelnictwa w r. 1952 wzięło udział 60 ankiet i wypracowań. Brała udział młodzież z ZMP i SP. Za II etap czytelnictwa gromada dostała w nagrodę patefon, komplet płyt i komplet książek (130). Ta nagroda zmobilizowała gromady do większego udziału w konkursie do III etapu. Na zebraniach z młodzieżą ZMP omawiano tę sprawę, a także udział w konkursie był zgłoszony jako współzawodnictwo w ogólnopolskim konkursie punktów bibliotecznych i w ogólnopolskim konkursie świetlicowym, podjętym z okazji uchwalenia Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Na zebraniach rodzicielskich w szkole — objaśnia dalej Sasak — zachęcałem rodziców do czytelnictwa, prowadziłem w końcu rozmowy indywidualne z czytelnikami i wskazówek im udzielałem porady i wskazówek o konkursie. Ażeby dotrzeć do każdego domu, zredagowałem — uśmiecha się — ulotkę, którą przepisaną w 150 egzemplarzach.

— Kto przepisywał?

— Przepisywała młodzież szkolna, rozumiejąca swoją rolę dla upowszechnienia czytelnictwa. W ogóle dzieci są łącznikami między świe-

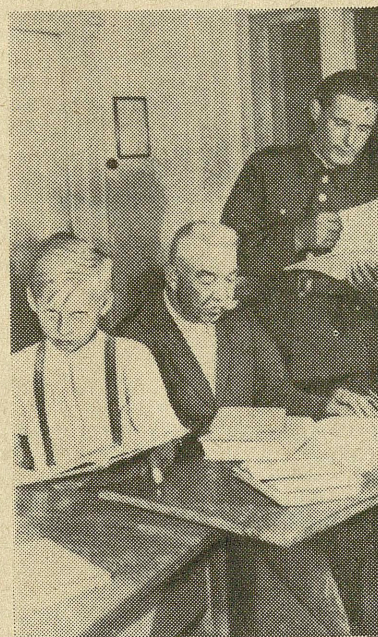


Foto — CAF

tlącą a domem. Biorą książki dla rodziców i sąsiadów, którzy podają za ich pośrednictwem swe dezyderaty na kartkach. Ulotka informowała o przebiegu II konkursu, zachęcała do wzięcia udziału w III konkursie i przedstawiała warunki III etapu. Na skutek tej akcji wzrósł udział uczestników, a zwłaszcza starszych. Ogółem zostało odesłanych ze świetlicy wypowiedzi 178 (z Nieszkowic 83, z Nieprzeźni 32, z Zawady 63). Wzrosło ogromnie zainteresowanie czytelnictwem i konkursem i w dalszych gromadach. Sąsiedni Pogwizdów przystąpił do konkursu i nadesłał 100 wypełnionych ankiet. — Bez oparcia się o szeroki aktyw czytelnictwa nie mogłbym osiągnąć żadnych wyników — tłumaczy spokojnie. — Młodzież zetemnowska z przewodniczącym koła, Janem Wojciechą, a przede wszystkim Maria Skowronek, Monika Durak, Maria Pazdan, Maria Osika, Zofia Wachel, Zdzisław Koza, Bronisław Smoter i Zdzisław Siczka (uczeń licealny i obiecujący młody poeta), następnie soltys Franciszek Gawond oraz prezes ZSCH, Jakub Dudzák, wzięli udział w konkursie. Zofia Sasak i Antonina Springwald — otóż ci, którzy pomagali w kontaktach z czytelnikami i przy wypełnianiu ankiet.

*

Na tym trudnym politycznie terenie, gdzie agrarystyczne teorie miały do niedawna wielu jeszcze zwolenników, świetlica dokonała przełomu w świadomości miejscowych chłopów. Jaka jednak polityczna wartość zostawiła praca oświatowa — czytelnictwa w miejscowości, o której powiatowy aktyw partyni może nawet nie wie, że istnieje? Czy był ktoś z partii choć raz w Nieszkowicach z referatem o spółdzielczości produkcyjnej?

Na obszarze 400 ha mieszka w Nieszkowicach Wielkich 700 ludzi. Duszą się, biedują, harują na gospodarstwach indywidualnych jak kulaste skzapy.

Chęci tutaj są i jeśli cały ogół udało się zdobyć jak nigdzie do czytelnictwa, to chyba można by go przekonać i do postępowej gospodarki maszynowej, uspołecznionej. Ale jak się przekona dziś, jeśli tu podobnie jak jeszcze w niejednej wsi powiatu bocheńskiego, nie ma trzonu, bez którego istnienia nie można sobie nawet wyobrazić oblicza i kształtu spółdzielni — partii?

Co robi Komitet Powiatowy PZPR w Bochni, jeśli jeszcze np. w Nieszkowicach Wielkich nie ma dotychczas zorganizowanej komórki Podstawowej Organizacji Partyjnej?!

Aktyw partyni, jeśli jest aktywny, nie powinien być nie po lokcie, ale po łopatkach! Patrmy, co zrobił Komitet Powiatowy choćby w takim limanowskim! Powiat niedźny, górzysty, górale przywykli do anarchii, a przecież garna się do partii, zakładają spółdzielnię, bo komitet jednak coś robi. Ile jest spółdzielni w Bocheńskim? Czyja to wina, że ich nie ma? Chłopów? Nauczycielstwa? Organizacji? Czytelnictwa?

Na nie ofiarny, gigantyczny wysiłek setek i tysięcy takich, jak Bielawska czy Sasak. Nie pomoga konkursy czytelnictwa i akcja biblioteczna, nie wiem jak dobrze zorganizowana, jeśli partia nie pomoże. Jeśli Komitet Powiatowy PZPR w Bochni obojętnie będzie się przyglądał temu, co się w powiecie dzieje bez wyciągania wniosków, to nie z tego. Pracę nad podniesieniem świadomości politycznej wsi należy w Bocheńskim ze strony partii bezwarunkowo wzmoć, ustokrotnieć. Zebym w Nieszkowicach Wielkich powstała Podstawowa Organizacja Partyni i żeby chłopci przestali się bać traktora.

Jan Bolesław Ożóg

GEORGE BIDWELL

WŁADYSŁAW WÓJCİK

LIST Z BRAZYLII

Kronika radziecka

SIEJĄ PRZESTĘPSTWO ABY ZEBRAĆ WOJNĘ

W setkach amerykańskich miast dzieci popełniają więcej niż kiedykolwiek i cięższych zbrodni. Co roku ok. miliona dzieci popada w zątarz z policją. Trudno jest myśleć o dziecku, jako wlamywcze, gangsterze, narkomanie, czy mordercy. Taką jednak stała się dziś rzeczywistość.

Do tych wniosków, wypowiedzianych przez „New York Times” doświadczeni dziennikarze i dyrektorzy „pieki społecznej” przy sądzie dla nieletnich w Waszyngtonie, że przeciętny wiek wlamywców obniżył się z 16-17 lat na 15, a nawet 13. A nie rzadko można spotkać nawet 10-letnich wlamywców.

Dzieje się tak nie tylko w Ameryce. Fala przestępczości objęła młodzież brytyjską. Przeważa typ chuligana zwanego „cosh boy” (kastetiarz) od amerykańskich kastetów, jakimi się posługują przy napadach na kasjerów, wiozących pieniądze, na sklepy jubilerskie i policjantów. Prasa donosi o całych dzielnicach Londynu terrorizowanych przez bandy tych łobuzów.

W obu krajach działa ta sama przyczyna: odradzanie uwagi młodzieży od sportu i rozrywek kulturalnych i skupianie jej na zbrodni i gwałcie. A jednym z najskuteczniejszych środków użytych w tym celu są „comics’y”, rzucające masowo na rynek z obu stron Atlantyku. Każda taka okładka, złożona z samych obrazków i paru słów tekstu, ma za treść bicia i tortury, morderstwa, gwałty, strzelania i wszelkie formy okrucieństwa.

Oto np. „Utwór” pt. „Spłuw” ma za temat 35 morderstw na 35 stronach. Inne „dzieło” nazwane „Akacja” jest obrazkową historią bohaterki, która jednej z przeciwniczek dziurawi brzuch rozpalonym żelazem, drugiej przebiega gardło oszczepem, trzeciej wybiją żęby i odrąbuje ręce, a głównej swojej antagonistce — rzeź całą rozpruwia się wyłącznie wśród kobiet — wykluwa oczy strzykawką uzbrojoną w olbrzymią igłę. Po tych zabiegach ratuje cierpliwie czekającą ofiarę, rzucając na pożarcie dzikich zwierząt po zakuci w kajdany, zabójczemu i wypaleniemu jej pierś. Bohaterowie „comicsów” mają zawsze wygląd i postawę faszystów. Zauważaj, są też ubrani w mundury przypominające gestapo i SS. Taką właśnie literaturę, zwiastującą młodzież krajów Pakty Antykomunistycznego, 16-letni Christopher Craig, miesiąc temu skazany w Anglii za zamordowanie policjanta, zeznał, że comicsy stanowiły jego jedyną lekturę. Był to już trzeci w ciągu ostatnich 2 lat morderca, który składa takie zeznanie. W USA zjawisko to jest jeszcze częstsze.

Zabawki w sklepach USA i W. Brytanii spełniają tę samą rolę w stosunku do najmłodszych. Rewolwery, karabinki automatyczne, polki gumowe, czy kajdanki oszajają dziecko od najmłodszych lat z pojęciem przestępstwa. W tych dniach w parlamencie brytyjskim opisywano czterechmetrowy sztylet sprzedawany podczas świat w jednym z londyńskich sklepów z zabawkami.

Ta gloryfikacja chamskiego, gwałtu i zbrodni stanowi wyraz światowej polityki Waszyngtonu i Londynu, Wall Street i City. Wychowanie młodzieży w sposób taki, by gwałt i przemoc uważała za stan normalny, ma na celu urobienie przyszłych żołnierzy na pozabawione skrupułów hordy, które rzucić będą bomby napalmowe na kobiety i dzieci, rozstrzelują bezbronną młodzież i zgniatać buldożerami domostwa ludów kolonialnych. Opiekunowie społeczni w Brytanii skarżą się na zupełny brak kredytów rządowych na świetlice dla chłopców, gdzie mogliby uczyć się żyć. Ale gdy chodzi o naukę zabijania — pieniędzy jest wóbr.

Asygnowano 12 milionów funtów szterlingów na budowę nowej siedziby sztabu brytyjskiej Armii Renu. Za tę cenę można by mieć w Anglii 5.000 nowych domów, 5 szkół, liceum, ośrodek młodzieżowy, 5 basenów pływackich i szereg bieżni, boisk sportowych, kortów tenisowych itd.

Autorzy programu znieprawienia młodzieży stosują represję za najcięższy protest, każdą uziarnię piętnują jako „działalność wywrotową”. Mimo to związki zawodowe, organizacje kobiece, prasa postępuje i postępuje ugrupowania polityczne, a także coraz liczniejsze szeregi „nauczycieli i wychowawców” wypowiadają zdecydowaną walkę przeciwko, jakie zawisto nad głowami młodzieży. Fala wzmożonej przestępczości nieletnich w Ameryce i Brytanii jest następstwem faszystowskich metod zaprawiania młodzieży do udziału w nieporównanie większej skali zbrodni — uścisku i po:bojów imperializmu. Walka z przestępczością młodocianych, walka o zdrowie dla nich rozrywki i normalne zajęcia, jest więc w swej istocie walką o pokój.

George Bidwell

Zarodki socjalizmu w ustrojach kolonialnych

W ciągu ubiegłych lat 30 ujawnił się w Brazylii znamienny proces socjalno - ekonomiczny: przeobrażenie. Obserwując to zjawisko widzi się, jak układ stosunków gospodarczych i sam duch epoki kształtują świadomość mas pracujących, jak przy tym pod naporem okoliczności decyduje ostateczne wy-myskają się z rąk warstwy panującej. Nie ulega przy tym wątpliwości, że nastroje ogarniające 50-milionowy masowy naród brazylijskiego, zaskoczyły niejszową reakcją niespodzianką ich radykalizmu społecznego, na „rzekor” zaco-niu, w jakim te masy były do tej pory wychowywane.

Spuścizna ustroju feudalno - kolonialnego, niedawno dopiero prze-fasonowana w Brazylii na modłę kapitalizmu „made in USA”, zna-lazła się z dnia na dzień pod -rostu w obliczu problemów so-cjalnych niemożliwych do rozwią-zania półśrodkami ani odłożenia na dłuższy termin. Okazało się, że rów-nocześnie, że metody kapitalistyczne typu Wall Street nie nadady się zupełnie do przeładowania żywo-cem na teren południowo - amery-kański. Od wybuchu wojny światowej młode rekin kapitalizmu brazylijskiego „terminowały” gorliwie u północno - amerykańskich maj-strów, studiując tamtejsze metody szybkiego pomnażania dóbr do-czesnych kosztem mas pracujących własnych oraz cierpień i krwi ob-cych. Nagle okazało się, że koszty-wo znaczy mistrzów chybiły celu. To znaczy, chybiły na dłuższą me-tę. Początkowo cel został osiągnięty, ostatecznie, wojna do 1945 r. i z ko-lei „zimna wojna” wypełniły Brazylię milionami. Jednakże wy-starczy dzisiaj przejrzyć tylko sprawozdania z posiedzeń kongresu federalnego w Rio de Janeiro, aby się przekonać, że i tym kraju Ei-senhower nie wygrałby wyborów... Nawet tradycyjnie reakcyjne partie brazylijskie obawiają się gniewu mas robotniczych. Brazyli-a wkroczyła już w okres walki klasowej.

Burżuazja głosiła tezę, że zasada-mizą przyczyną ostrych konfliktów społecznych są warunki demogra-ficzne, że odruchy te wywołuje prze-ludnienie, a więc brak niezbęd-nych „Lebensraumów”. Polski fa-szizm przedwojenny dopatrywał się nawet rozwiązania problemu w ma-sowej emigracji chłopów. Otóż Brazyli-a jest najbardziej klasycznym za-przeczeniem owej pseudo-ekonom-icznej tezy. Na obszarze z gó-rą osiem milionów km. kw., nawet przy znacznym procencie nieużytków, nie może być mowy o „braku

„przestrzeni życiowej”. Jest jej aż za wiele, co znów powoduje nad-mierny wzrost kosztów transportu.

Druga wojna światowa rozszerzyła w znacznym stopniu rynek zbytu dla brazylijskich surowców, pół-surowców, a nawet manufaktury i dzięki tej koniunkturze młody ka-pitałizm kolonialny w tym kraju wkroczył w nową fazę, nabrął roz-machu i zwałił do ośrodków prze-mysłowych miliony proletariatu leśnego, a nawet drobnych posiada-czy ziem (kolonistów). Po wojnie uchłonął on jeszcze do miast kil-kaset tysięcy osób z emigracji, z kategorii „dipisów”, których bez-skutecznie zamierzano osiedlić na roli. Proces przesiedlania się miesz-kańców leśnych do miast trwa nie-przerwanie, chociaż pierwotne wa-runki w przemyśle brazylijskim, które go wywołały, przestały już istnieć. Rynek zbytu kurczy się z dnia na dzień, jak to widać z alar-mów podnoszonych w prasie tutej-szej. Ale warunki egzystencji o-sadnika leśnego pozostały bezna-dziejne. Cała uwaga i cały wysiłek sfer kierowniczych w tym kraju zostały zwrócone na rozbudowę miast, porzucając w cieniu za-pomnienia warsztaty produkcji rol-nej. Na przestrzeni ubiegłych lat dziesięciu wzrasta wskutek tego zjawiska drożyzna artykułów spo-żywczych w skali przeciętnej 50 proc. rocznie. W ostatnich latach na dobitkę jeszcze nawiedziły Brazylię klęski nieurodzajów a równo-cześnie fale drożyzny pogłębiła wy-uzdana spekulacja handlowa, któ-rej nikt nie starał się zadożyć w-zględem jak i detaliczne, ogarnęła żądza nadmiernych zysków, co w natu-ralne konsekwencje pociągnęło za sobą inflację, ta zaś z kolei po-ruszyła masy pracujące do walki o podwyższenie zarobków. Rozpoczęła się w całym kraju fala straj-ków.

Sfery kapitalistyczne brazylijskie licząc na poparcie militarne USA, jako paladyny reakcji międzynaro-dowej w otwartą już walce z pro-letariatem całego świata, postano-wiły stłumić u siebie ruch rewim-dykacyjny robotniczy (kwalifikują-co sumarycznie jako komunistycz-ną) metodą policyjną. W szeregu miast brazylijskich „padły w ub.roku na bruk ofiary walki klasowej. Nie pierwsze w tym kraju i nie o-statnie... ale one właśnie zamarko-wały nowy etap w tej walce. Zna-czną część klasy robotniczej znaj-dowała się już w szeregach organi-zacji zawodowych. Robotnik brazylijski przestawał być już o tej po-rze „molochem” łatwym do roz-



BOA VISTA

gromienia i terrorizowania pa-romi salwami.

Na przestrzeni ubiegłych dwóch lat, tj. od czasu ostatnich wyborów, brazylijska burżuazja podzieliła się wyraźnie na dwa obozy, których wzajemne ścieranie się w polityce wewnętrznej sprzyja na swój spo-sób ruchowi ludowemu, przynaj-mniej na dalszą metę. Jeden z nich złożony z rekinów przemysłowo-handlowych, utuczonych na dosta-wach wojennych, bojowy pod wpływem rozbuchanej chciwości, nieokiełniony i żarłoczny, naślado-ujący aż do śmiechoty swoich pa-tronów z Wall Street, gotów jest postawić na jedną kartę wszystkie szanse otwartej walki z budzącym się proletariatem brazylijskim. Z jego to poręki strzelano do strajku-jących robotników w Rio Grande i w Rio de Janeiro. Obdż ten doma-ga się oddania bogactw krajowych w eksploatację kapitalistom z USA oraz wysłania żołnierzy brazylijskich na Koreę. Nie dysponuje on uprawdź bezwzględna większość w kongresie federalnym, ale posiada do swej dyspozycji naj-większe dzienniki w kraju, roz-głoszenie radiowe i... sztab general-ny. Kler jest istotnie „marchew-kiem” w jego rękach. Obok nie-przedanego obozu reakcji istnie-jący w Brazylii liczeniejszy od niego ugrupowanie sił politycznych o nastawieniu umiarkowanym składa-je się z warstwy urzędniczej, in-teligencji zawodowej i drobnego kupiectwa. Ten odtam burżuazji nie-wierzy już w nieśmiertelność „sy-stemu kapitalistycznego i szuka po-srednich dróg ratunku, ale zarazem lęka się radykalnych przemian wy-nikających z zagnięcia się walki klasowej. Tworzy więc niedecydowa-ną społecznie stan średni, którego

anachronizm wywypukla się z dniem każdym na tle anarchii gospodar-czej kraju. W obecnym bowiem stanie rzeczy nie ma w ogóle róż-nicy między drobnym urzędnikiem państwowym lub prywatnym, a przeciętnym robotnikiem fabrycz-nym, gdy chodzi o wysokość ich u-posażeń. Drożyzna gnębi ich zatem jednakowo.

Obóz drobnej burżuazji brazylijskiej, mimo liczebności nie repre-zentuje siły politycznej z racji swe-go rozbiecia na szereg partii, któ-rych menery bezustannie się zwal-czają na podłożu ambicji osobis-talnych, przy czym każdy z osobna de-magogicznie wystąpieniem „ko-kietuje” masy wyborcze. Ani jedna z legalnie istniejących partii poli-tycznych w Brazylii nie dysponuje konkretnym programem politycz-no - gospodarczym, gdyż wszystkie o tej porze oscylują między dwie-ma krawcówściami — z jednej strony nie rade by puścić klamki bogaczy, z drugiej zaś boją się u-traty popularności wśród mas wy-borczych. I Panu Boju świeczka i diabłu ogarek...

Bo masy pracujące w tym kraju, aczkolwiek nie posiadają własnej jednolitej programy partii poli-tycznej (po zamknięciu partii ko-munistycznej), stanowią poważną i groźną „nieświadomą”, której ciężar gatunkowy waży na wszelkich mo-żliwych kombinacjach ustrojowych. Proletariat brazylijski, aczkolwiek jeszcze pół-analfabetyczny, nie skomondowany klasowo i nie u-swiadomiony należycie, już wysu-nął się w swoim kraju na arenę dziejową i wykazał potencjalne możliwości zwycięstwa w walce klasowej. Czas i błędy strategiczne re-akcji zwiększają jego szanse.

Władysław Wójcik

KRZYSZTOF POMIAN

LWY — LUDZIE — NARODY*

KAZDY, kto oglądał stare średniowieczne mapy wi-dział na nich zarzys Af-ryki i napis „terra ubi leones”, co znaczy „ziemia, gdzie znajdują się lwy”. Tym sposobem wykonawca mapy usprawiedliwiał swą niewiedzę o Czarnym Lądzie. Jakże bowiem można badać kontynent, na którym znajdują się dzikie drapieżce mo-gące pożreć badacza?

Tak więc przez długi czas znajo-mość Afryki ograniczała się do wie-dzy o istnieniu lwów. Nie zmienił tego stanu rzeczy początkowy etap ekspansji europejskiej. Przyniósł on tylko milionowe zyski handla-rom niewolników oraz niewole, śmierć i niewysłowione cierpienia stu milionom Murzynów.

Zmianie stanu wiedzy o Afryce spowodował dopiero wiek gwał-townego rozwoju kapitalizmu, oraz ostry walki o nowe rynki zbytu — wiek dziejowatny. Z biegiem stu z górą lat, które upłynęły od re-wolucji francuskiej do wybuchu pierwszej wojny światowej, kapi-talizm przeobraził się w imperia-lizm. Burżuazja wyrzuciła za burtę wniosłość hasła swego młodzieńcze-go okresu — „wolność, równość, braterstwo” i zastąpiła nowymi — „nie-wola, rasizm i wyzysk”. Pomimo jednak, że imperialiści rozszarpali Afrykę, że poznano źródła Konga i Nilu, że opisano florę i faunę te-go kontynentu, duża ilość poświę-conych mu książek szła w parze z małą wiedzą o życiu jego właś-ci-wych gospodarzy — Murzynów. Burżuazja wołała, by nie pisać o ludach Afryki — nie było się tu bowiem czym pochwalić. Nie jest chyba dowodem wartości koloniza-cji europejskiej, stwierdzany w o-ficjalnych raportach, fakt obniżenia się stopy życiowej ludności Nigerii w porównaniu z XVII wiekiem! I nie przynosi zaszczytu rządowi angielskim stwierdzenie gubernato-ra jednej z kolonii, że Murzy-nów nie można karać więzieniem, bo mają w nim warunki lepsze niż na wolności.

Burżuazyjna literatura nie pisała więc o położeniu narodów Afryki, nie ukazywała najważniejszego — życia i walki jej mieszkańców. Jak średniowieczni kartografowie kla-

da na mapie Afryki napis „ziemia, gdzie znajdują się lwy”, dodając: „i przedstawiciele niższej rasy, któ-rych dziejowym przeznaczeniem jest pracować na białych panów”. Sytuację zmieniała dopiero wiedza, literatura i publicystyka naszej epoki.

*

„Przebudzenie Afryki” Grzegorza Jaszuńskiego, to książka ciekawa, żywo napisana i nieznane poruszająca sprawy. Autor postawił sobie za cel ukazanie w jasnej i prze-jrzystej formie położenia i walki na-rodowo - wyzwolenczej ludów Af-ryki. Przynać należy, że zadanie to książka spełnia.

„Czy Afryka będzie kolonią a-merykańską?” pyta tytuł jednego z rozdziałów. Aby na to pytanie odpowiedzieć, spojrzmy jak wyglą-da ekspansja Stanów Zjednoczo-nych w Afryce. Obfity nagromadzo-ny przez autora materiał pokazuje rosnące uzależnienie Afryki od hy-dry z Wall Street. Rozwój obrotów handlowych między Stanami Zjed-noczonymi i Afryką, tworzenie mieszanych anglo - amerykańskich, franko - amerykańskich, czy belgo-amerykańskich spółek do eksploata-cji bogactw naturalnych, wzmo-żone inwestycje amerykańskie w

przemyśle Unii Południowo - afry-kańskiej czy Rodezji, oto jedna strona ekspansji amerykańskiej w Afryce. Stroną drugą jest militar-ne opowanie. Ląd ten ma być odskocznią do działań wojennych przeciw ZSRR i krajom demokra-cji ludowej. Buduje się więc lotni-ska, wyrzuć V-2, forty wojenne i autostrady.

Alle rachunek ten robiony był bez gospodarza. A gospodarz ma wła-sne zdanie. „Narody Afryki nie wezmą udziału w wojnie przeciw Związkom Radzieckim!” mówi Gabriel d'Aroussier, głosny afry-kański pisarz.

Burżuazyjni rozbójnicy pióra twierdzą, że Afrykanie nie zasługu-ją na wolność, gdyż o nią nie wal-czyli. Książka Jaszuńskiego wyka-zuje cały fałsz tego twierdzenia a zarazem fałsz tezy o pokojowej ko-lonizacji Afryki. Nie będę tu prze-pisywał nagromadzonych w książ-ce a obalających te twierdzenia faktów. Jeżeli zaś wiedzieć chcecie o blisko sześćdziesiąt lat trwającej walce plemion Aszanti z najazdem brytyjskim; o walce o wolność E-giptu; walce Maroka i Algieru, Li-bii i Tunisu; jeżeli chcecie poznać prawdę o walce Czarnego Lądu, to przeczytajcie „Przebudzenie A-fryki”.

„MOCARSTWO CZYTAJĄCYCH”

(Dokończenie ze str. 5)

historii człowieka skok do po-wyższości średniego wykształce-nia.

Już w roku 1953 tysiąc nowych szkół średnich zostanie otwartych w największej republice ZSRR, w Federacji Rosyjskiej. W roku 1955 powszechne nauczanie średnie zostanie zrealizowane w 120 mia-stach Federacji. W roku 1952 ilość uczniów szkoły dziesięcioletniej wzrosła w ZSRR przeszło o milion osób. W głównych miastach wszyst-kich republik radzieckich powstają nowe piękne gmachy, aby w nich nowe miliony mogły zdobywać wy-kształcenie co najmniej średnie.

W roku 1955 powszechne naucza-nie średnie obejmie wszystkie więk-sze miasta i ośrodki przemysłowe; w następnej pięcioletce, a więc za lat niespełna osiem — cały olbrzy-mi kraj. A to oznacza: każda miej-

scowość wiejska będzie mieć szkołę średnią. Gdzie szkoła początkowa była do niedawna nowością, wy-rośną obok nowe gmachy dziesięcio-latek. I każdy Nanajec, Czuczka, czy Wielkoros, Ukrainiec czy do nieda-wna koczowniczy Saam, będzie miał co najmniej wykształcenie średnie. „Mocarstwo czytających” stanie się mocarstwem powszechnego wyskie-go wykształcenia.

Z wielkich warsztatów komuniz-mu wyrasta już nowy ustrój, ustrój najwyższego rzędu. Buduje go czło-wiek radziecki, który pokonał mrok wieloletniej niewiedzy i wielkością swego dzieła wykazał, że „proletariusz, ten wó! robotczy społeczeństwa bur-żuazyjnego — jak pisał Gorki — zbrojny w wiedzę potrafi być świet-nym mistrzem kultury i jej twór-cą”.

Tadeusz Orlewicz

Afryka jest jednak nie tylko kontynentem bohaterskich trady-cji, ale i niemiętej bohaterskiej te-raźniejszości. Książka Jaszuńskiego omawia zagadnienia bieżące w A-fryce bardzo szczegółowo. Praw-dziwie cenny, bo dający ogólny rzut oka, jest ostatni, podsumowu-jący rozdział. Za jedyny błąd książ-ki można uważać niedostateczne u-wypuklenie różnic w stopniu roz-woju krajów afrykańskich, czego można było łatwo uniknąć.

Przejdźmy jednak od analizy książki do analizy sytuacji w Afry-ce.

Nieustająca nigdy walka naro-dów Afryki ze szczególną siłą roz-garzała po zwycięstwie Rewolucji Październikowej. Powstała w szere-gu krajów partie komunistyczne; w 1921 r. w Unii Południowo-Afry-kańskiej, w 1924 r. w Algierze, w 1926 r. w Tunisie. W roku 1928 ro-botnicy Johannesburga pierwszy raz w Afryce obchodzili 1 Maja. W Maroku, Sudanie, Nigerii, Kame-runie toczą się krwawe walki.

Dalszym bodźcem do wzrostu walki narodowo - wyzwolenczej było zwycięstwo nad faszysmem w II wojnie światowej. Odrazu po za-kończeniu wojny w całej Afryce wybuchają strajki. W 1946 r. po-wstaje w koloniach francuskich „Demokratyczne Zjednoczenie A-fryki”, najbardziej masowa organi-zacja Afryki. W tym samym roku powstaje na Madagaskarze „Demo-kratyczny Ruch Odrodzenia Mada-gaskaru”, nieco wcześniej w Nige-rii powstaje „Rada Narodowa Ni-gerii i Kamerunu”, a na Złotym Wybrzeżu „Zjednoczona Konwencja Złotego Wybrzeża”. Zastraszeni ko-lonizatorzy stosują terror, próbują w powodzi krwi zatopić kraj mas. W 1945 r. z rozkazu De Gaulle’a wymordowano 40 tys. mieszkańców Algieru. Rok 1947 — to masakry na Madagaskarze, gdzie ginie 100 tys. malgaszów. 1948 r. — krwawe tłumienie demonstracji w Akkrze na Złotym Wybrzeżu, rok 1949 — w Enugu w Nigerii.

Alle walka narodowo - wyzwo-lenicza nie uległa załamaniu. No-wych sił jej dodało zwycięstwo na-rodu chińskiego w 1949 r. i dziś płonę cały kontynent. Otworzył gazete: Kenia, Alger, Tunis, Egipt — oto główne ogniska. Walka narodów Afryki trwa i trwać będzie aż do zwycięstwa.

Krzysztof Pomian

MARKS I ROSJA

W 105 rocznicę urodzin Marksa (6 maja 1818) prasa radziecka dru-kuje ciekawe materiały dotyczące stosunku wielkiego współtwórcy socja-li-zmu naukowego do Rosji. Marks z za-in-terесowaniem obserwował stosunki go-spodarcze i społeczne w Rosji. Widząc narastanie sił rewolucyjnych, chce zyskać poznać rosyjską nysę podstawową, chce studiować dzieła ekonomistów, poli-tyków i pisarzy rosyjskich.

Mając lat 50 wziął się do studiowania języka rosyjskiego. Po upływie pół roku opanował mowę rosyjską tak biegle, że mógł czytać klasyków. Szczególnie uw-alał się w Puszkina, Gogola i Szchedry-nie.

W liście do redakcji „Ojczyzny” z 1887 roku Marks wyjaśnił, jak wielką wagę przykładał do poznania języka rosyjskiego: „żeby mieć możność sadu o ekonomicznym rozwoju Rosji nauczyłem się języka rosyjskiego, a później w ciągu wielu lat studiowałem urzędowe i inne wydawnictwa, dotyczące tego przedmiotu”.

O tym samym pisał Marks w liście do Z. Meiera ze stycznia 1871 roku: „...Z początkiem 1870 roku wypadło mi samo-dzielnie zająć się nauką języka rosyj-skiego, w którym teraz czytam dość bie-gło. A stało się to stad, że przysłało mi z Petersburga, posiadającą bardzo cie-kawą wagę książkę Plerowskiego o „Sy-tuacji klasy robotniczej w Rosji” (w szczególności chłopów). Również lubie-mo zapoznać się z ekonomicznymi (wspianymi) pracami Czernyszewskiego (który w podziękowaniu otrzymał siedem lat temu wyrok sybirskiej katorgi). Wy-nik tam jest wysiłków, na które musiał zdobyć się człowiek w moim wieku, żeby opanować język, tak dalece różny od klasycznych, germanskich i romanskich języków”.

Biblioteka Marksa posiadała dział ro-syjski. Marks skompletował w nim bardzo cenne dzieła, dotyczące socja-lizmu stosunków w Rosji drugiej połowy XIX wieku.

Znajomość rosyjskiego pozwoliła Mark-sowi dokładnie zanalizować literaturę, dotyczącą narodzin kapitalizmu w Rosji. Marks zbadał stosunki agrarne, sytuację materialną chłopstwa, czesność pa-szyczyn, powstawanie „szwabskiej” Rosji i powstanie kapitalizmu. Marks wykrył błędy „narodników”, zaprzeczających roz-wojowi kapitalizmu na wsł. Widząc roz-wartwienie klasowe wsi i narastanie sił proletariatu w miastach, Marks coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu o dojrzałym w Rosji ruchu rewolu-cyjnym.

Marks wysoko cenił postępową myśl Rosji, Dobrolubowa i Czernyszewskiego, podkreślał rolę rewolucyjnej demokracji, dostrzegał znaczenie związku postępowej i rewolucyjnej inteligencji z szerokimi masami. W liście do Z. Meiera z 21 stycz-nia 1871 roku, pisał: „Ideowy ruch, ma-jący obecnie miejsce w Rosji, świadczy o tym, że głęboko w samych dotychczas odrywających się od rzeczywistości i nieświadomościach niemi z ciałem narodu”.

Marks uważnie studiował narodowy nowy klas w Rosji — przemysłowego proletariatu.

Na podstawie studiów dokładnej zna-jomości ruchów społecznych w Rosji tak Marks jak i Engels przepowiedzieli konieczność rewolucji w Rosji i jej hi-storyczne wszechświatowe znaczenie. W liście z 27 września 1887 roku Marks pi-sał, że Rosja dawno już stoi na progu wielkich przemian, a podkreślał, że w latach 70 — 80 XIX wieku rewolucyjna inicjatywa przeszła do Rosji. Marks wy-raził przekonanie, że „rewolucja roz-pocznie się tym razem na wschodzie”.

„Rosja stanowi czołowy oddział re-wolucyjnego ruchu w Europie” — pisał Marks i Engels w przedmowie do rosyj-skiego przekładu „Manifestu Komun-istycznego” w r. 1882.

Historia potwierdziła marksistowską ocenę sytuacji w Rosji. Myśli Marksa o niezbędności rewolucji proletariackiej w Rosji zostały później rozwinięte przez Lenina i Stalina w wypowiedziach na temat możliwości zwycięstwa rewolucji i budownictwa socjalizmu w jednym kra-ju.

30-LECIE „OGONIOKA”

W kwietniu popularny tygodnik ra-dziecki „Ogoniok” obchodzi swoje 30-letni jubileusz. W tym czasie istnienia, „Ogoniok” podobnie jak ca-ła bolszewicka prasa, stworzona przez Lenina i Stalina, w ciągu wielu lat zyskał spory ogólny popularność i po-czytność. Tygodnik stał się czołowym dziełem życia kraju, pełną obfitych wy-chowawczą rolę, będąc ośrodkiem walki o pokój dotarł do najdalszych zakątków Związku i rozszedł się również za gra-nicę. Stał się przykładem prasy bolsze-wickiej, która odniosła zwycięstwo nad bulwarową sensacyjną i zakłamaną pra-są burżuazyjną — przez swój ścisły związek z ludem, przez służbę dla szer-zkich mas, dla socjalizmu i pokoju.

Na stronach „Ogonioka” można zna-leźć wybitne prace naukowe (aczkolwiek w ujęciu popularnym) i prozatorskie budowniczych socjalizmu — twórcy najlepszych pisarzy radzieckich i opowada-nia, pisane przez samych czytelników. W tygodniku tym drukował kiedyś Gorki. Majakowski publikował poemat „Le-nin”.

„Ogoniok” jest silnie związany z wie-łotyśnią rzeszą czytelników. Co roku redakcja otrzymuje dziesiątki tysięcy li-stów, prowadzi ożywioną korespondenc-ję z czytelnikami, udziela porad początku-jącym młodym pisarzom-debiutantom. Przez swój związek z korespondentami „Ogoniok”, podobnie jak cała prasa bol-szewickiego typu, stał się zwierciadłem życia szerokich mas i trybuna opinii pu-blicznej, zaczął kierować życiem i wy-chowywać w duchu socjalistycznym. Ty-godnik żywy, popularny i zarazem wy-chowawczy prowadzony, ciekawy i inspi-rujący wywarł burżuazyjny typ pi-smna, zwany magazynem. W rękach ra-dzieckiego czytelnika „Ogoniok” stał się i rozrywką i pożyteczną naukową i lek-turą i bojowym organem socjalizmu.

NOWI PISARZE

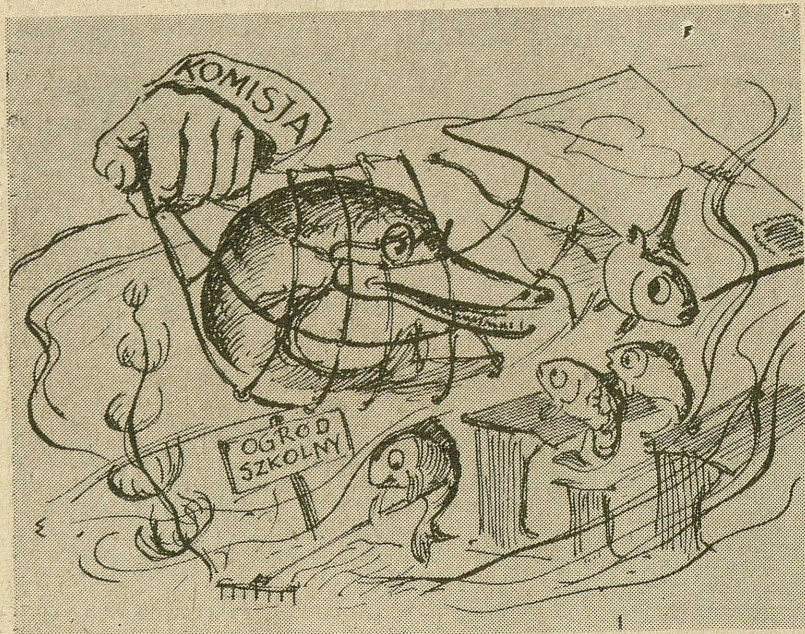
W Związku Radzieckim istnieje je-dyny w świecie zakład kształce-nia nowych kadr literackich. Jest nim słynny Instytut Literacki im. Gor-kiego, w którym młody adept literatu-ry pobiera nauki z zakresu estetyki marksistowskiej, historii literatury i je-zyka rosyjskiego. Absolwenci Instytutu wy-kazują się własnymi pracami z zakresu li-teratury, które podobnie jak dyplomowe prace na uniwersytecie, podlegają dys-kusji i muszą być przez autora broni-o-ne.

W Instytucie przygotowują się do za-dania przyszłego pisarza studenci trzydzi-siętu ośmiu narodowości.

W ciągu istnienia Instytutu wyszo-zo z niego około 400 poetów, prozaików, dra-maturgów, krytyków, tłumaczy i redak-torów. Wśród nich są nazwiska po-wyższe: dr. znanie jak Azajew, Babi-jewski, Łukonin i inni.

W tych dniach odbywało się zamknię-cie roku szkolnego i dobiegły kancie-ostanie egzaminy. Komisja, w skład której wchodziłi Surkow, Antonow, Mi-chajłow i inni, oceniła pozytywnie twórczość dwudziestu sześciu nowych młodych pi-sarzy, którzy zaliczyli bogate kadry pi-sarzy radzieckich.

Grzegorz Timofiejew



TADEUSZ SŁUPECKI

Rys. Stefan Szmidi

Pech profesora Szczupaka

KOGO by tu dziś postać z listem do Aniela? Zadawasz sobie to pytanie Ksawery Szczupak, kierownik szkoły podstawowej w Kurkiczynie, opadł w filozoficzną zadumę.

Rzecz w istocie była nielutna. Wszystkie brzołki uczniów z kapturkami i „lauftrami” czyli gońcami walczone krzatyły się już od rana w dużym, bo blisko dwuhektarowym ogrodzie warzywnym, gdzie — jak wypisywał w swych sprawozdaniach Szczupak — „umacniały w praktycznym kontakcie z ziemią karmielniczką wiedzę teoretyczną, nabytą w szkole, a która to wiedza mówi im o świecie, fizyce, polityce i nowoczesnej agrotechnice”. Rzetelność tych sprawozdań została w swoim czasie potwierdzona przez specjalną komisję szkolną z powiatu. Ba, nawet na wojewódzkiej konferencji nauczycieli wyrażono się z uznaniem o pedagogicznych metodach kierownika kurkiczynskiej szkoły i jego wzorowym gospodarstwie doświadczalnym, jakie zorganizował przy niej w trosce o politechnizację nauczania na wsi...

— Postać kogoś z ogrodu? Można, ale w ten sposób oderwie jednego z uczniów od „ziemi-karmielniczkich”, opóźni politehnizację nauczania na wsi... A do tego kierownik nie chciał dopuścić za żadną cenę! Zwłaszcza że zna pewien szczegół...

— Hm... Wezmę chyba Karasia od teoretyków — zdecydował wreszcie Szczupak.

Do brzołki teoretyków należeli najmłodsi, którzy sprzątnięciem sływu z mieszkania kierownika zdobywali dopiero pierwsze szczeble drabiny, wiodącej ich stamtąd wprost do szczytów wiedzy. Ze jednak z tych niewielu było na razie z tych tyle, co z psa kielbas, mniej nawet niż z brzołki laurów, obsługującej zwykle jego korespondencyjne potrzeby — zdecydował się ostatecznie na Karasia. Niech się chłopak wyrabia...

— Ale młody Karas wyróżnił się tak zaszczepioną aczkolwiek niespodziewaną misją, okazał się jej niegodny, bo po drodze zagapił się na traktor w PGR i list zgubił, a pannie Aniela treści jego powtórzyc nie umiał, jako że wbrew tradycji nosiła miśniesz pocztę — wspominał go przedtem przeczytał. W rezultacie tego faktu kierownik do północy przeleżał w oznaczonym zagajniku, kłócąc na przemian nocną rosę, to pannie Aniela, podczas gdy ta bogu ducha winna biedula wierzila się aż do rana w swej panielskiej podziębności, kryjąc w niej swą bolesną podziębność, dzisiejszych mężczyzn, na których przedstawiali widać działać nawet jej śr... wykształcenie i 30 hektarów tatusiowego gruntu, traktowane przez nią dotąd raczej jako środek podkreślenia niczego sobie zresztą urody.

Gdy nadzobacz, sprawę ku obopólnemu zadowoleniu i pożytkowi wyjaśniono, kierownik zapłacił łatwo zrozumiałym oburzeniem, które aż do ułotki go jednak daleko, bo aż do chaty Karasia, gdzie dał upust swojemu wale niepoehlebnym sądom o rodzinie i wychowaniu ucznia, gubiącego listy swego nauczyciela. W czasie tej operacji młody Karas rzycał podobno jak stary wół, a jego matka beczała niemal tak serdecznie jak w dzień swojego ślubu. Jedynie ojciec utrzymał się do końca roli gospodarza domu.

Niemniej jednak ta niejasna sprawa zaogniła ogólną sytuację.

— Powiedz no, mój ty Karasku srebrysty — zapytał kierownik zaraz na pierwszą lekcję następnego dnia po owym „ście” — co to jest krowa?

Krowa, panie profesorze, to zwierzę domowe, co lubi żreć trawę, a dawać mleko — odrzekł po krótko.

kim namyśle nad tym dziwnym pytaniem Karas.

— A o tym, że często ryczy z mleka nie daje, zapomniałeś? Siada, masz dwie ze śpiwów.

Innym razem Szczupak prostując swą maszyną nieco drażliwą postać i zacierając dłonie zaczął przyciągać niektóre sylaby:

— Tak, taak... Są tu między nami, co mają za rodziców takich mardaszków, że nauczyciela, ba, samego papieża, w kozi róg by zapędzić gotowi. Ale spytaj potem o coś syna, to gorzej niż ciębie; ani to me, ani be... Ty, K rasku zciotki, wiesz o kim mowa. A skoro już wiesz aż tak wiele, to może jeszcze powiesz nam, jaka jest różnica między świnią a osem?

Odczekiwał wspaniałomyślnie miłutę i ciągnął dalej:

— Nie potrafisz? Przecież to nie filozofia po grecku! Ano, jabłuszko ułóż niedaleko od jabłotki pada, niedaleko... No to ja ci, Kochasie, powiem. Taka, że świnią gubi czyjeś listy, a osioł ją rodzi i do szkoły posyła... A teraz siada. Masz dwie z polskiego.

W tydzień później do powiatu poszło pismo, sporządzone przez Karasia a podpisane przez całą wieś, w którym stało napisane, że mają dość kierownika i jego zadziwiających metod wychowawczych. Zaś w dwa tygodnie do Kurkiczyna zjechała ponownie komisja z powiatu. Ujrzawszy ją z okna Szczupak wypadł na ganek, ale tym razem komisja zaczęła wbrew swoim zwyyczajom — od chaty Karasia. Pozostawiało mu więc tylko przygotować dla niej godną kolację. Ale kolacja stygła, a komisja wędrowała po całej wsi. Ksawery patrzył na to z okien swego mieszkania suchym okiem i tylko machinalnie próżniał kieliszków, nalanych dla inspektorów, zdradzało jego wewnętrzny rozterk. Gdyby chociaż zaczęli od niego! Ale tak... — machnął ręką i sięgnął po nowy kieliszek. Ze szkolnictwa go nie wywala, bo nauczycieli mają jeszcze za mało, ale kierownictwo — fu! — poleciało! Trzeba też będzie sprzedać lub wydzierżawić gospodarke, którą się tak ładnie uprawiało reklamami swoich uczniów. Jakaż to fatalna siła skłoniła go wtedy do posłania przez Karasia owego listu do Aniela. Jakiż przeznaczenie pchało go w przepaść!

I rzeczywiście, z końcem roku dostał przeniesienie do innego województwa, gdzie mściwy jak w tragediach greckich los odmówił mu nie tylko dwuhektarowego ogrodu przy szkole, ale nawet listów Aniela zbył już w owym czasie zajętej troską o godną prezentację swej osoby na spacerach pod oknami kurkiczynskiej szkoły, w której mieszkał i nauczał nowy kierownik, podobno także ucałował go rzeczy i także nieznośnie!

Zanim jednak nastąpił wspomniany epilog, Ksawery Szczupaka późną nocą komisja przeniosła z krzesła na łóżko i rozbrała troskliwie. Zbudzony tak niespodzianie pomocą, a mimo zachwianie nieco przeżyciami równowagi umysłu, myślący ciągle jeszcze o tej nieszczytnej decyzji, która stała się początkiem jego tragedii, zdołał wyszeptać:

— To Ananke, obywatele, mnie gubi... Fatalizm... Greckie przeznaczenie z ateńskich tragedii...

— Jakże tam przeznaczenie?! — zdziwił się jeden z członków komisji. — To normalne prawo selekcji mniej uczciwego materiału ludzkiego w naszym społeczeństwie.

— Jednak, gdyby nie Karas... — próbował się upierać, coraz sennie zresztą, kierownik.

— To znalazłaby się inna Płotka i Szczupak dostałby i tak po nosie! — wyjaśnił uprzejmie drugi.

Nasz ustrój, drogi kolego, jest, że tak powiem, stworzony właśnie dla płotek i karasi. Jeśli pozwalamy starym szczupakom wychowywać nasze dzieci to wyprzedamy od nich lojalnego przestrzegania naszych praw i zwyczajów. A wszelkie złożenie nauki wyrzucamy im razem z zębami!

Tadeusz Słupecki

ZDZISŁAW POLSAKIEWICZ

O szeregowych bohaterach nie napisanych książek

SŁYSZ ostrzegł: „Chciałbym, żebyście napisali dużo o Nowej Hucie. Wiecie o tym, co u nas najważniejsze: wyrastanie ludzi razem z murami kombinatu i domami miasta. O tym chciałbym, abyście pisali”.

Stefan Słysz na terenie Nowej Huty jest bardzo znany. Spytano o niego każdego przypadkowego napotkanego na ulicy człowieka. Ale Słyszowi idzie o tych właśnie nowohutnich ludzi, którzy nie są znanymi, a którzy co miesiąc, co dzień wyrastają wraz z kombinatem, wraz z murami miasta i czekają na swoich odkrywców. I pomagają przez to wyrastać jemu w codziennej robocie politycznej aktywisty.

Bo Stefan Słysz jest obecnie w Nowej Hucie przewodniczącym miejscowego Komitetu Frontu Narodowego.

*

Zanim Słysz przybył do Nowej Huty, już przeszedł drogę godną pióra każdego pisarza. Historia jego życia należy chyba do najbardziej romantycznych historii naszych lat.

Młody, ubogi syn małomiasteczkowego stróża znalazł się w czasie minionej wojny na odległych obszarach Związku Radzieckiego.

— Jeśli mogę mówić o podstawowej szkole politycznego myślenia — wspomina — to tam właśnie ja zdobyłem. Ja, wiecie, byłem oficerem Czerwonej Armii. Wojna dokonywała bolesnej próby serc i charakterów. To i moja próba wtedy się dokonała. Potem już w mundurze Dywizji Kościuszkowskiej długimi drogami wojny jako inny człowiek wracałem do kraju...

... I tam w kraju na jednej z takich dróg, w Wadowicach, wybiegła mi naprzeciw młoda dziewczyna o jasnych, rozwianych włosach z wianuszkami kwiatów w ręce. Drugi raz spotkałem ją przypadkowo 2 września, w dniu moich imienin. A po dwóch tygodniach byliśmy już małżeństwem.

*

Irena Słysz przez te 8 lat zewnętrznie zmieniła się niewiele. Ma takie same jasne, rozwiane włosy, urodę młodej dziewczyny, po której nikt nie domyśliłby się matki 5 drobnych dzieci. A jednak tamta dziewczyna, wręczająca kwiaty oficerowi wyzwoleńczej armii i ta kobieta rozmawiająca z nami w małym pokoiku nowego mieszkania — to dwie różne osoby.

Droga Ireny Słysz stanowi przykład tego, co nazywamy „awansem” kobiety w Polce Ludowej. Od funkcji ekspedientki w prywatnym sklepie w Wadowicach, droga ta wiodła poprzez namioty na placach jak stół polach, w których

mieszkał pierwszy budowniczości Nowej Huty, aż...

— Przybyliśmy tutaj w 1949, już z trójkiem małych dzieci. Tutaj nauczyłem się zawodu. Pracuję dziś w kombinacie przy obsłudze dźwigu.

Mógłby ktoś powiedzieć: „Drobiaz: Nic nie mówiący szczegół”. Nieprawda! Jest w tym szczególnie nowy charakter stosunków między ludźmi i warto o nim mówić. Nie tylko warto. Trzeba go dostrzec i trzeba mówić.

Bo, jak pisał Borys Polewoj — „Prawda naszej rzeczywistości dostarcza wspaniałego materiału dla reportażysty (i nie tylko dla reportażysty — przyp. Z. P.) i nie w niej zmienić ani podmalować nie trzeba”. A w tych drobiazgach mieści się właśnie ta „żywa prawda naszej rzeczywistości”.

Niedawno odbyła się niezwykle uroczystość w Dzielnicy Komitetu Partii. Pierwszy sekretarz tow. Wicławek gratulował Irenie Słysz partyjnej legitymacji. A przed drzwiami z kwiatami w rękach stało sześcioro Słyszów: jeden trzydziestoparoletni i pięcioro brzołków od dwóch do siedmiu lat.

*

Stefana Słysz zna w Nowej Hucie niemal każdy. Pod jego bezpośrednią opieką powstało bowiem 12 terenowych Komitetów Frontu Narodowego. W komitetach tych pracuje 960 agitatorów. W blokach odbywają się systematyczne zebrania mieszkańców. Do kółek studiowania życiorysów Stalina zawiązało się poza zakładami pracy, w domach, 1200 osób. W tym 700 kobiet, gospodyń domowych.

Niewiele jest chyba aktywistów terenowych, którzy poszczycić się mogą takimi wynikami pracy. A dzieje się to w Nowej Hucie, wśród

HORACY SAFRIN

Fraszki

O SPIĄCEJ ŚWIETLICY

Dziwna świetlica! — stwierdzam bez przesady. Bowiem otwarta w święto Października stała się o c z k i e m w głowie Gminnej Rady, które z nastaniem wiosny... się zamyka.

„OCZYTANY” BIBLIOTEKARZ

Okaz bibliotekarza naprawdę dość rzadki: zna na pamięć swe książki — od strony o k i a d k i.

NA „OFIARNEGO” KIEROWNIKA ŚWIETLICY

Twierdzi, że sił mało kultury poświęca. Owsem. Stale do tańców patefon nakręca.

DO BYŁEGO ANALFABETY

Moja radość z tej prostej przyczyny wynika, że postawiłeś krzyżyk na swych trzech krzyżykach.

Gazetka gminna

Czy Mordy już sprzedane?

Otrzymałmisi z gromady Mordy, pow. Siedlce, tak zastraszające wiadomości, że bijemy w naszej Gazecie Gminnej na alarm! Prezes ob. Kopera Józefa ogłosił szal sprzedawania. Ten jego szal ma dwie charakterystyczne cechy. Miało być to góry nogami! I to jest ta druga cecha szalu. Ktoż bowiem może kupić szal z góry nogami! Szukajcie adresu u najbogatszego w Stoku Ruskim, popytajcie znanych kulaków: Marcuka z Gluchowa, Polkowskiego i Celińskiego z Czeplina.

Ale, mój kochani ludzie, nie chodźcie do zwykłego kumterstwa. Idzie o rzecz znacznie niebezpieczniejszą. Pomysłicie tylko. Sprzedaj Koper naraz wielką ilość cementu. Poszło gładko, nikt z przedstawicieli władz głosu nie podniósł. Sprzedali tedy hurtem cały zapas węgla — GRN nie. No, skoro tak, to pozbądź się za czystą gotówkę wszystkich maszyn rolniczych. Ktoś tam wprawdzie ze zwyczajnych chłopów pogadywał, że Kopera to łobuz, ale władze gminne nadal milczały.

Wtedy dopiero powziął Koper swój straszliwy zamiar. Raz jeszcze, na wszelki wypadek upewnił się, co do stanowiska GRN. Sprzedał mianowicie państwową piec z siedziby władz gminnych. Nie, cisza... Wobec tego przystąpił do największej operacji — sprzedaży gromady Mordy wraz z GRN. A że ta ostatnia jest ponoć łatwa sprzedania, więc też straszliwy zamiar może się udać. I co wtedy? Przerabiał wszystkie statystyki, zmieniał stan ludności, tłumaczył PZGS, że jednak istniała kiedyś w Mordach placówka GS. Roboty na dwa polekolej! A kto więc, czy Koper podochocny nie sprzeda całego powiatu siedleckiego? Ludzie ratujcie!

Piotr Pigwa

Atrakcje kulturalne w Jezioranach

Nie ma co — udało się chłopom z gminy Jeziorany, pow. Reszel, woli ołsiżyńskie, kierowniczka kina stałego. Tu do piero dba, aby namierzonym wielbicielom filmu nie brakło ani atrakcji, ani niespodzianek. Jest ich w sumie tyle, że wylizyc nieposob. Z konieczności więc podamy tylko kilka najważniejszych.

1. Oto znakomite uroczalności polegające na tym, że film idzie, jak to się mówi „do góry nogami”. Atrakcja ta, oprócz zwykłego oszołomienia, powoduje znaczny wzrost zainteresowań dla sportu. Wielu bowiem chłopów staje na rękach sadząc, że w ten sposób zobaczą film normalnie.

2. Niemniej cenna atrakcja — zamazany, ciemny film. Ludzie tamia sobie głowę nad tym, czego to przez dwie godziny zobaczą nie mogli, popadają w zadumę, wiodą zawzięte spory. A filozoficzna zaduma i dyskusje to przecież czyste osiągnięcie społeczne.

3. Z innych niespodzianek wymienimy

O duchu, sotyisie i drzewie

Cuda, nadprzyrodzone zjawiska, gusta, strachy w ciemnym lesie, ruszali na możyby — to wszystko czysty wymysł, obliczony na naiwnych. Dobrze tak mówić, jeżeli się nie mieszka w gromadzie Rudka, gm. Sieniewa, pow. Jarosław.

Otoż tam zaginęła się jakaś nadprzyrodzona siła, co dziwniejsze, działająca głównie na odcinku drzewa.

Mają tam chłopci kawałek gromadziego lasu. Patrz jednego dnia — las jest. Patrz drugiego — lasu nie ma. Duch go w nocny sprzątnął i ani śladu. Usiadłszy swojego czasu chłopci pięknych okraglaków na budowę szkoły. Drzewo zniknęło tak sprawnie w ciągu nocy, że trudno było zwykłego śmiecielnika o taką doskonałą organizację pracy posadzić. Jednak co duch, to duch — zauważył diałkowicz Jan Zawada pełen zachwytu, póki i jego nie szczęście nie dotknęło.

Miał ten biedniak kilka pięknych oich na swoim kawałku ziemi, tuż przy strumyku. Zniknęły mu nagle wszystkie, wyjąwszy jednej jedynę. Postanowił ją odważyć Zawada uratować. Zabrał się

ludzi, z których wielu przybyło zwabionych mirażem łatwego zarobku i „dorobienia się”, dalekich od jakiegokolwiek postawy politycznej, narażonych na wrogie wpływy okolicznego kulactwa, spekulantów, księży.

Więc teraz chyba wyjaśniła się tajemnica, dlaczego każdy w Nowej Hucie zna Słysz.

Po takich tropach idą zazwyczaj pisarze. Rozejrzają się i popytają tu i tam, wypływają im wówczas z uszu te same nazwiska sprzedawczych robotników i działaczy. I na nich to skupiają obserwacje jako na modelach do portretów, jako na pierwowzorach do ról głównych bohaterów A słysz ostrzega: „Nie zapominać o szeregowych ch naszego frontu, bo fakt z ich życia również starczą na kanwę nowej opowieści o prawdziwym człowieku”.

Słysz razem z pierwszymi przybyszami marzył na polu namiołach. Pracował z nimi od pierwszych dni. Widział, jacy tu przyszli, czym na początku zatracali i jak się przemieniali ci z różnych miast, miasteczek i wsi.

O nich mu idzie! O tych szeregowych Frontu. O tych spośród tysięcy i milionów. Ich bowiem nie widać w reportażach, opowiadaniach i powieściach. Rysujcie, pisarze, bardziej plastycznie postacie tzw. drugo- i trzecio-planowych bohaterów. Niech Wam kierownik brzołki, sekretarz organizacji i inni przywódcy nie zastanawia kolektynu, którym dowodzi. Ludzie kolektywu, ich życie i praca, to w utworze/dowód (złożony i bogaty), bez którego główni bohaterzy pozostaną zawsze nieprzekonywający. Nie zapominać o tym, pisarze!

Zdzisław Polsakiewicz

SEWERYN SKULSKI

Jest dobrze, ale czy lepiej być nie może?

Zamieszczona poniżej korespondencja Seweryna Skulskiego jest odpowiedzią na krytykę, której został poddany w nr 13 „Wsi”. Zarzucił mi wówczas Skulskiemu, że — długi działacz i miłośnik książki — nie zainteresował się głębiej czytelnictwem we własnej wsi, że stać go było na ostrą krytykę stanu czytelnictwa, ale nie stać na osobisty, czynny udział w przeywoczeniu trudności. Jak dalece potrafił Skulski wyciągnąć wnioski z krytyki — pozostawiamy pod rozwagę czytelnikowi. (Redakcja)

Gdy otwarto bibliotekę w Karnkowie, gdzie byłem bibliotekarzem, cieszyłem się i dziwo wałem, że po 40 osob przychodziło do książki, a wówczas wypoczywanie było płatne. Za zebrane w ten sposób pieniądze kupowałem do biblioteki nowe książki. W bibliotece było 300 tomów, gdy ludzie wyszli z lokalu świetlicowego, mało książek na półkach zostawało. Przychodziło po książkach mężczyźni i kobiety, a najwięcej młodzieży już pozaszkolnej, rzadko kiedy dzieci szkolne. Brano po dwie i trzy książki, gdyż czytającym jedna na tydzień nie starczała.

Z czasem liczba wypożyczających zmalała, choć różne nowości wydawały do biblioteki napływały. Ta młodzież wiejska gdzieś się podziwała, coraz jej było we wsi mniej. Odeszli do różnych szkół zawodowych, za pracą do przemysłu i na zachód. W bibliotece samotnie, coraz bardziej. Czasem ktoś ze starszych wszedł, zapytał o jakiś dziwny tytuł przedwojennych wydań, naturalnie taką nie mogłem mu służyć — odszedł bez książki. Do tego doszło w końcu, że częściowo biblioteka znalazła się w spółdzielni produkcyjnej, a częściowo w innych gromadach.

Gdy już przestałem być bibliotekarzem, zorientowałem się, że mój zachwyt początkowo wielkim czytelnictwem uśpił mnie. Spoczęłem na samoradnym czytelnictwie bez pracy w tym kierunku, aby ono zawsze było zadowolone. Nie starałem się udać o pomoc do nauczycielstwa, nie udało mi się o pomoc do GRN ani do prelegentów Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, którzy często z różnymi odczytami Karnkovo odwiedzali. Dopiero po czasie zrozumiałem, że bibliotekarz musi być działaczem.

Czy to znaczy, że w Karnkowie obecnie nikt książki nie czyta. Jest tu biblioteka punktowa, choć rzadko kiedy obsługująca tę bibliotekę przypomni sobie o otwarciu lokalu bibliotecznego. W gminnej bibliotece jest 350 tomów „nowoczesnej” różnorodnej literatury, ale — prowadzona ona jest, jak mój się zdaje, moim dawnym nieudolnym sposobem. Zimą czytelnictwo sięga na terenie gminy do 350 czytelników latem spada niżej połowy. Z reguły w bibliotekach punktowych winno się zmieniać książki co trzy miesiące. Tymczasem niektóre nie są zmieniane od roku. Pomimo tych wszystkich pomyłek i niezbyt właściwego prowadzenia bibliotek czytelnictwo powojenne jest o 300 procent większe od przedwojennego.

Wiesz nasza Karnkovo czy to Maliszewo na terenie gminy Jastrzębskiej czyta i czyta coraz więcej, widać to po stale podnoszącym się czytelnictwie czasopiśm. Pierwsze miejsce wzięła tu gazeta „Gromada — Rolnik Polski”. Niewiele mniej ma czytelników „Przyjaciółka”. Faktem jest, że czytelnikowi wiejskiemu już nie wystarczy jedna gazeta wiadomościowo — informacyjna.

Pionierami czytelnictwa czasopiśm i książek bibliotek czasopiśmowych są listonosze wiejskie. Najdzielniejszym z nich jest ob. Pniewski. Do mieszkańców trzech gromad, które obsługuje codziennie, wiesz samej „Gromady — Rolnika Polskiego” około stu egzemplarzy, a w bardzo wielu domach zostawia po kilka innych czasopiśm.

W dwóch gminach jastrzębskiej, radomskiej i wokół miasta Lipna 10 maja br. listonosze zdołali ponad 500 nowych czytelników. Tu znów zwyciężył nasz ob. Pniewski, zdobywając sam ponad 50 czytelników.

Jest dobrze, ale może być lepiej, gdybyśmy się szczerzej zainteresowali tymi, którzy jeszcze nie czytają!

Seweryn Skulski

Komunikat

Zmiana terminu przyjmowania zamówień i wpłat na prenumeratę. Zamówienia i wpłaty na prenumeratę dzienników i czasopiśm, począwszy od bieżącego okresu, przyjmowane będą w rowych terminach. od dnia 11 każdego miesiąca do dnia 10 następnego miesiąca — na najbliższy okres kalendarzowy.

Na okresy miesięczne — co miesiąc.

Na okresy kwartalne — odpowiednio do dnia 10-go m-ca grudnia, marca, czerwca i września.

Na okresy półroczne — do dnia 10-go m-ca grudnia i czerwca.

Na okres roczny — do dnia 10-go m-ca grudnia.

Obecnie, zamawiając prenumeratę na m-c czerwca, należy przedpłacić uiszczyć do dnia 10-go maja br.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL

Redaguje Komitet

Adres administracji: Warszawa, ul. Wileńska nr 12, tel. 7-52-50. Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7.

Tel.: Red. Nacz. 883-36. Tel.: Redakcji 8701, wewnętrzny 5, 73, 8.

Warunki prenumeraty:

mies. — 4,60 zł, kwartalnie — 13,80 zł, półrocznie — 27,60 zł, rocznie — 55,20 zł.

Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.

RSW „PRASA” Warszawa Marszałkowska 3/5 4-B-14638